W numerze: „Ósmy i dni następne" ● O narkotykach i narkomanach ● Arthur Miller–studenci–problemy ● „Powiedzmy: Gantenbein" ● Spiew i życie ● List z Wrocławia ● Z żartów doktora Pietraszka ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

odgłosy

Nr 9 (365)
7. III. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

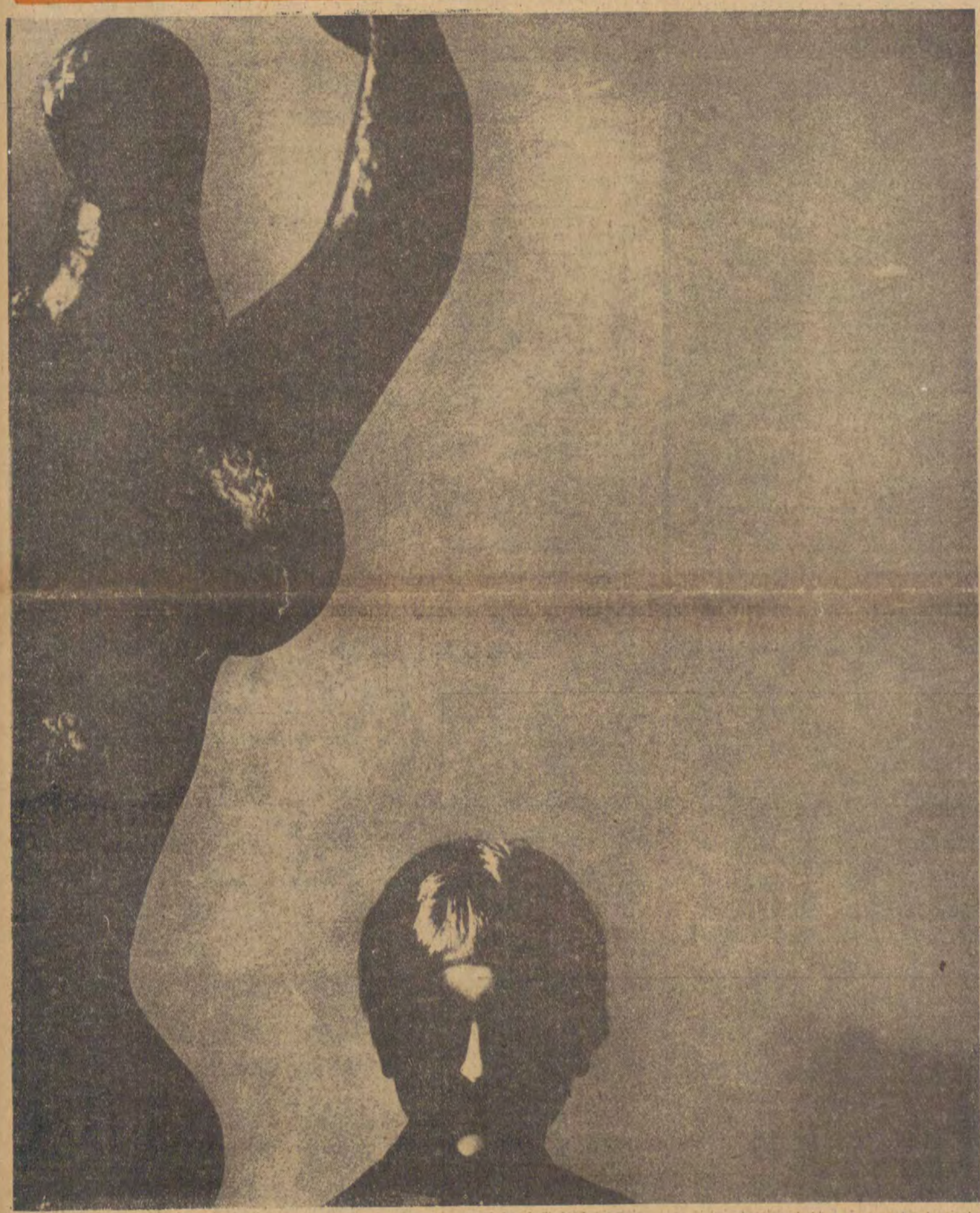

Foto. E. Hartwig

STEFAN BRATKOWSKI
JERZY ZIELEŃSKI

Sama ZDOBYWAJĄC Kartaginę...

Przywykliśmy już do kobiet-kosmonautek, ale kobieta zajmująca się zawodowo konstrukcjami stalowymi, to, przyznajcie sami, ciągle coś jakby poza konkursem. Bo kobieta stwarza ciepło, stal zaś jest chłodna i jakaś w ogóle bardzo męska, tak myślimy jeszcze i my, a tym bardziej zapewne myślą tak muzułmanie, którzy do płci pięknej mają ciągle dość określony stosunek.

I wprawdzie sławna Claude Fayeia leczyła imama Jemenu, ale co innego nieść ulgę w cierpieniach, rzecz to bardziej niewieścia, a co innego spędzać czas nad rajzbretem, gdzie rozpięto mapę geometrycznych figur i schematów, która przeniesiona w przestrzeń stworzy bryłę na przykład: największej huty w Tunisie. Co innego między ampułkami i medykamentami, a co innego poruszać się sprężyście w świecie modułów i średnic, nitów i spawań, młotów i dźwigarów, iskier i zgrzytów, wierteł i palników, zapachu olejów i smarów, w świecie form niepodatnych i brutalnych...

A jednak pani Wanda Czarkowska nie tylko została inżynierem, specjalistą właśnie od konstrukcji stalowych, ale tę swoją umiejętność zademonstrowała ..a południe od Morza Śródziemnego, w kraju muzułmańskim, w Tunezji. Wprawdzie tylko ignorant mógłby Jemen feudalny do niedawna porównywać z bardziej cywilizowaną Tunezją prezydenta Bourgiby, ale fakt pozostaje faktem, że w latach 1962—63 pani Czarkowska była jedną z dwóch na całą Tunezję kobiet-inżynierów; traf chciał, że drugą była też Polka, tylko emigrantka.

Megrine, koło Tunisu, biuro Ali M'H', potentata, który posiada szereg przedsiębiorstw różnych specjalności, wśród nich biuro konstrukcyjne. Biuro to wykonuje zamówienia państwowe na obiekty, budowane w ramach planu rozwoju gospodarczego Tunezji. Dlatego dwójkę Polaków (panią Wandę i jej kolegę, specjalistę warszta

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLICH

LUDZIE NA BOCZNICY

Wkrótce potem, jak spadły pierwsze w tym roku większe śniegi, wybrałem się na stację towarową Łódź-Olechów i spytałem o zawiadowcę. „Nasz Stary, to będzie teraz na zachodzie", — poinformowano mnie w stacyjnym baraku niedaleko elektrowozowni. „Niech pan wejdzie do dyżurnego ruchu i spróbuje podzwonić".

Tajemnicza strona świata znajduje się na żelaznym szlaku 3 km dalej. To znaczy w kierunku miasta. Pasażerowie przejeżdżającego tędy codziennie pociągu pośpiesznego Szczecin — Lublin, dla którego w olechowskiej nastawni układa się przebieg drogi, być może przypomną sobie pokryte śniegiem perony, które pociąg mija bez zatrzymania nabierając pędu, aby na wysokości pierwszej zwartej grupy drzew, pierwszego za Łodzią lasu pomknąć już na pełnej szybkości. Albo też i nie przypomną ich sobie. Stare porzekadło powiada, że na wojsko najprzyjemniej jest patrzeć z balkonu. Na stacji Łódź-Olechów mówią, że na kolej najprzyjemniej jest patrzeć z okien pociągu.

Na otwartej przestrzeni, skąd wiatr nawiewa na szyny nieustannie śnieg zasypując zwrotnice, trzeba uwierzyć w mądrość tego powiedzenia po kilkunastu minutach błądzenia między barakami magazynów i budkami manewrowych. Ludzie zatrudnieni na tym odcinku, dwanaście godzin harówki pod dachem Pana Boga w ciągu doby, często w zadymce, zasypującej oczy i ograniczającej widoczność do kilku kroków, nie mówią o otwartej przestrzeni, tylko o „Syberii". Zimą Syberia jest tu wszędzie i tylko na środkowym odcinku stacji towarowej, gdzie się formuje pociągi przed wysłaniem w dalszą drogę, znaleźć można jakie takie zacisze pomiędzy ciągnącymi się na kilometr szeregami wagonów. Z chrypiącego głośnika wiatr porywa wypowiadane donośnym głosem jakieś cyfry i przymiotniki: ciężki, lekki, podwójny; słychać bliski łoskot parowozu i po chwili trzask wagonów miękko schodzących się buforami. Pomiędzy tymi manewrami tysięcy ton stali i towarów ludzie grzeją ręce nad ogniem w budce obok toru ściągając rękawice, na których zamarzły smary, pełni

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

„Presja wywierana na USA, aby dążyły one do rozwiązania konfliktu wietnamskiego w drodze rokowań zbliża się do punktu, w którym Stany Zjednoczone znajdą się w izolacji". Te słowa „New York Times" dość trafnie wyrażają obecne stadium problemu wietnamskiego. Ofensywa dyplomatyczna na rzecz rokowań, której zasadniczymi elementami są: wspólna gotowość ZSRR i Francji podjęcia próby zorganizowania międzynarodowej konferencji, inicjatywa Indii (kontakty z zainteresowanymi krajami, by stworzyć warunki sprzyjające takiej konferencji), wypowiedź U Thanta — „systematycznie wypowiadałem się za koniecznością i celowością odwołania się do politycznych i dyplomatycznych metod znalezienia rozwiązania. Przez cały czas uważałem, że metody wojskowe nie dadzą upragnionych wyników..." — zatacza coraz szersze kręgi. Niestety, Stany Zjednoczone, czemu wyraz dał m. in. sekretarz stanu — Rusk na konferencji prasowej, nie podejmują jak dotychczas tych inicjatyw. Nic przeto dziwnego, że na łamach prasy zachodniej zaczynają się pojawiać sformułowania o „dyplomatycznej izolacji wietnamskiej polityki USA".

Dalsze niepowodzenia militarne w Wietnamie, chaos w Sajgonie i ostatnio — wywierana na USA nawet przez ich sojuszników presja, by nie trwały w bezsensownym uporze — być może ostatecznie zreflektują Waszyngton; Obecnie jednak oznak takich nie można się dopatrzyć.

Tymczasem sytuacja w Wietnamie Płd. wyprowadziła już nawet z równowagi korespondentów zagranicznych. Wbrew pozorom (liczne sensacje polityczne) skarżą się oni na swój los.

„Reporter — pisze James Reston na łamach cytowanej powyżej gazety — przyzwyczajony jest do tego, że będąc w obcej stolicy, wie kto sprawuje władzę... W Sajgonie jednak premierzy zmieniają się jak kierowcy autobusu po ukończeniu kursu i dlatego jeśli się ich nie ponumeruje jak piłkarzy, to jest rzeczą prawie niemożliwą wiedzieć, kto znajduje się jeszcze na scenie".

Z Wietnamu, stanowiącego nadal główny punkt zainteresowania opinii światowej, przenieśmy się do Egiptu. Jak nasi Czytelnicy wiedzą, bawi tam z oficjalną wizytą przewodniczący Rady Państwa NRD — Walter Ulbricht. Powitaniu jego, o czym obszernie informuje prasa światowa, towarzyszyła niezwykła serdeczność i honory, jakie należne są najwyższym dostojnikom państwa.

Tak więc wszystkie intensywne wysiłki Bonn, wspierane szantażem gospodarczym, by do tego nie dopuścić, zakończyły się kompletnym fiaskiem. W Niemczech zachodnich panuje zupełna konsternacja. Oficjalnie przyjęto metodę wyczekiwania, dając do zrozumienia, że rząd zajmie ostateczną decyzję w sprawie ewentualnego wstrzymania pomocy gospodarczej dla ZRA po zakończeniu wizyty. Nieoficjalnie jednak mówi się coraz częściej o możliwości wycofania się z zajętego uprzednio stanowiska. Krążą ponadto w Bonn pogłoski o projektowanych zmianach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Czyżby poszukiwano przysłowiowego „ofiarnego kozła"?

Tak, jak w wypadku Wietnamu polityka amerykańska, tak w wypadku Egiptu polityka zachodnioniemiecka prowadzi do izolacji. „Doktryna Hallsteina" uderza w NRF jak bumerang...

— Być może — stwierdzają z ubolewaniem komentatorzy bońscy — niedaleki jest czas, kiedy powstanie sieć nieoficjalnych kontaktów NRD z całą Afryką. Póki nie jest za późno, doradzają, trzeba szukać nowych dróg.

Ostatnie dni przyniosły także nasilające się pogłoski o nowej inicjatywie rozbrojeniowej, z jaką ma podobno w niedalekim czasie wystąpić Wielka Brytania. Inicjatywę tę zapowiedział przed kilkunastu dniami premier Wilson, asumpt do przewidywań dała jednak wiadomość, że w dniu 3 marca udaje się do Nowego Jorku w celu przeprowadzenia rozmów z czołowymi osobistościami amerykańskimi brytyjski minister do spraw rozbrojenia — Chalfont. Ma on także spotkać się z szefami delegacji różnych krajów w ONZ.

Według informacji Reutera a także sugestii samego Chalfonta, który przed kilku dniami przemawiał przed studenckim audytorium, odsłaniając zamierzenia swego resortu, brytyjskie propozycje stawiają sobie za cel: zapobieżenie rozpowszechnianiu broni jądrowej, zamrożenie poziomu środków przenoszenia tej broni oraz rozszerzenie moskiewskiego układu o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową także na eksplozje podziemne. Forum, na którym ewentualne propozycje byłyby złożone, ma być „komitet 17".

Przypominamy w tym miejscu, że genewska konferencja rozbrojeniowa przerwała obrady we wrześniu ub. roku. Gdyby misja lorda Chalfonta powiodła się — komitet mógłby wznowić dyskusję jeszcze w marcu lub na początku kwietnia.

Zaledwie wstępne informacje nie pozwalają zorientować się, w jakim stopniu propozycje brytyjskie są nowe, a więc, czy mogą stanowić podstawę do rozmów. Każda jednak rozsądna inicjatywa w dobie, gdy zapasy broni nuklearnej oceniane są na 320 tys. megaton materiałów wybuchowych, będzie z pewnością powitana z zadowoleniem.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

NIEDZIELA, 21 lutego

✳ Minister informacji rządu francuskiego **Peyrefitte** podał do wiadomości, **że Francja i Związek Radziecki** porozumieją się co do wspólnej próby zorganizowania Międzynarodowej Konferencji w celu przywrócenia pokoju w południowo-wschodniej Azji. Również premier **Wilson**, oznajmił Izbie Gmin, że W. Brytania jest „aktywnie zaangażowana" w prowadzeniu „cierpliwych i dyskretnych konsultacji dyplomatycznych o charakterze poufnym", dotyczących uregulowania sytuacji na półwyspie Indochińskim.

✳ Podczas zaprzysiężenia Ministra Poczt USA **Johna Gronouskego** prezydent Johnson żartował, że ostatnio amerykańska poczta jest nieomal tak powolna jak sto lat temu.

✳ Ani zły humor przywódców Bonn, ani doktryna Hallsteina — pisze paryski „Combat" — **nie mogą przeszkodzić rozwojowi NRD**, ani uznaniu de facto NRD przez coraz większą liczbę państw, co zmusi NRF do zmiany postawy, taktyki i polityki zagranicznej w niedługim czasie.

PONIEDZIAŁEK, 22 lutego

✳ „Prawdziwa twórczość jest najwyższym przejawem ducha ludzkiego" — pisze **na łamach „Prawdy" naczelny redaktor tego dziennika prof. Rumiancew.** „Nie można jej pobudzać rozkazem, nie znosi ona podejścia biurokratycznego, wścibstwa i reglamentacji, bowiem wynika ona z potrzeb społecznych, które znajdują wyraz w wewnętrznych pobudkach uczonego lub artysty. Prawdziwa twórczość(...) jest możliwa dzięki poszukiwaniom, doświadczeniom, w warunkach swobodnego wyrażania i konfrontacji poglądów. Owocny rozwój nauki, literatury, i sztuki wymaga istnienia rozmaitych szkół i kierunków, rozmaitych stylów i gatunków, które współzawodniczą między sobą i pozostają zarazem w jedności na podstawie wspólnego światopoglądu dialektycznego i materialistycznego, na podstawie zasad realizmu socjalistycznego.

✳ Paryż i Londyn mieć będą **własną „gorącą linię"?** Harold Wilson zamierza przedstawić taką propozycję prezydentowi de Gaulle'owi w czasie spotkania projektowanego na wiosnę bież. roku.

WTOREK, 23 lutego

✳ Z dniem 1 kwietnia br. w Czechosłowacji wejdzie w życie uchwała rządu w sprawie **oszczędniejszego wykorzystania samochodów osobowych w sektorze socjalistycznym.** Zostaną m. in. stworzone warunki dla wykorzystania w celach służbowych samochodów prywatnych, jak też zakłady pracy będą mogły przekazywać samochody służbowe do dyspozycji jednego lub dwu pracowników, którzy wezmą na siebie wszelkie obowiązki związane z ich eksploatacją.

✳ Było dla mnie wielkim wstrząsem, gdy w wieku lat pięciu, odkryłem, że w świecie Garry Cooperów jestem Indianinem.

(James Baldwin)

✳ W bułgarskim miesięczniku „Partijen Żiwot" opublikowano uchwały Biura Politycznego KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej **poświęcone sprawie prasy, radia i telewizji.** Wskazując na osiągnięcia prasy bułgarskiej Biuro Polityczne podnosi jednocześnie jej słabości. Wiele pism — stwierdza uchwała — jest schematycznych, szablonowych i monotonnych, a materiały pisane są ubogim językiem. Pisma te winny być bardziej różnorodne i interesujące dla czytelnika, zamieszczać więcej reportaży, felietonów i satyry. Materiały oficjalne i protokólarne winny być krótkie.

ŚRODA, 24 lutego

✳ Kwiatami i salutem armatnim **witała Aleksandria Waltera Ulbrichta.** Nie ziściły się nadzieje Bonn, iż prezydent Naser obniży rangę wizyty niemieckiego męża stanu. W doniesieniach z Egiptu prasa zachodnioniemiecka z nieukrywaną goryczą zauważa, **iż Walter Ulbricht honorowany jest nad Nilem jako „prezydent niemiecki".** Dodajmy, że również statki handlowe NRF przebywające w Aleksandrii zmuszone były pełną galą witać gościa z NRD.

✳ Wizytującemu jedną ze szkół oficerskich w Arabii Saudyjskiej księciu Filipowi angielskiemu powiedziano, że pod chorążowie uczą się hebrajskiego na wypadek otwartego konfliktu z Izraelem — a także języka angielskiego. „Nie przypuszczam — odparł angielski książę — że z podobnych powodów...".

✳ Rumuński tygodnik „Lumea", poświęcony sprawom międzynarodowym, **przedrukował artykuł „Trybuny Ludu"** z niedzieli 21. II. pt. „O co chodzi", wyjaśniający istotę sprawy rozmów prowadzonych przez rząd PRL z przedstawicielami firmy Krupp.

CZWARTEK, 25 lutego

✳ Na mocy protokółu handlowego podpisanego między Kubą i Związkiem Radzieckim **tegoroczne obroty handlowe między obu krajami osiągną sumę 640 mln. dolarów.** Nadto Związek Radziecki udzieli Kubie długoterminowego kredytu w wysokości 167 mln dolarów. Komentator telewizji hawańskiej określił porozumienie jako „idealny przykład braterskiej współpracy".

✳ „Pan Erhard oczywiście nie zna się na polityce zagranicznej. Powinien zajmować się ekonomiką". Przytaczając tę charakterystykę wystawioną w swoim czasie obecnemu kanclerzowi przez Adenauera, „Newsweek" zauważa, że ostatni tydzień zdaje się wskazywać, **że charakterystyka byłego kanclerza jest od początku prawdziwa.**

✳ Agencje zachodnie donoszą, że premier ChRL Czou En-lai w piśmie przesłanym do prezydium konferencji narodów indochińskich oświadczył, **że pokój w Indochinach będzie mógł być zagwarantowany w wypadku, gdy Stany Zjednoczone i ich zwolennicy wycofają swe siły z Indochin w całości, natychmiast i bezwarunkowo, a państwa półwyspu rozwiążą swe problemy zgodnie ze swą wolą i bez obcej interwencji.**

PIĄTEK, 26 lutego

✳ Są u nas jeszcze ludzie, pisze na łamach **„Prawdy"** w artykule poświęconym **problemowi kadr w rolnictwie** sekretarz Ałtajskiego Komitetu KPZR, którzy na każdą propozycję nowej nominacji (nawet wówczas gdy nie mają pojęcia, czy podołają pracy) odpowiadają ochoczo: „Jestem żołnierzem partii". Najczęściej taki „żołnierz" przez całe życie należał do „nomenklatury", i gotów jest z lekkim sercem objąć każde stanowisko, pójść na zupełnie sobie nieznany odcinek pracy, byleby utrzymać się w kierowniczej „orbicie". Uważamy, że takich ludzi nie należy dopuszczać do poważnej pracy.

✳ Historia wykazała, że utalentowani Niemcy są z natury ludźmi porządnymi, lecz podburzeni przez emocjonalne naciski stają się brutalni, niepohamowani i nieobliczalni".

(New York Times)

SOBOTA, 27 lutego

✳ 75 rocznicę urodzin Borysa Pasternaka uczciły czechosłowackie pisma literackie obszernym omówieniem twórczości poety oraz przedrukiem jego wierszy. Tygodnik „Kulturni Tvorba" zalicza Pasternaka do najwybitniejszych poetów naszych czasów. W omówieniach twórczości poety wspomniano jego powieść „Doktor Żiwago" napisaną po doświadczeniach okresu kultu jednostki, za którą Borys Pasternak otrzymał w 1958 roku nagrodę Nobla.

✳ W Bułgarii trwają prace nad dalszym ulepszeniem metod planowania i zarządzania w przemyśle i rolnictwie. Eksperymenty przeprowadzone w szeregu zakładach pracy w 1964 roku pozwoliły załogom tych zakładów uzyskać daleko lepsze wyniki produkcyjne i zarobki. W związku z upowszechnianiem nowych zasad kierowania przemysłem podejmuje się również przygotowania reformy cen.

Wietnamskie wcielenia Johnsona.
(„Newsweek")

POLONICA

POLONICA

O STEFANIE ŻEROMSKIM W PARYŻU

Pięknym akcentem zakończył się ROK Żeromskiego we Francji. W paryskim wydawnictwie A. G. Nizeta ukazała się rozprawa doktorska (doctorat de l'universite de Paris) naszej rodaczki, p. Ireny Kwiatkowskiej — Siemieńskiej, napisana pod kierunkiem Jean Fabre'a znakomitego polonisty francuskiego, autora licznych prac, m. in. o S. Wyspiańskim. Obszerna praca, 256 s., zawiera doskonale zestawione biografie pisarza i syntetyczne omówienie głównych zagadnień jego twórczości. Niemała zaleta książki jest jej wyborny język, co czyni zaiste splendor autorce. Powycia ta ma tym większe znaczenie, że Żeromski jest pisarzem zgoła nieznanym nad Sekwaną. Jak dotąd przełożono zaledwie osiem nowel, jeden dramat, fragmenty „Urody życia" oraz „Popioły", spreparowane jako dwutomowa adaptacja. P. Kwiatkowska — Siemieńska pracuje obecnie nad przekładem „Urody życia".

Pierwszy krok w dziedzinie popularyzacji Stefana Żeromskiego we Francji, przerywający zmowę milczenia, został zrobiony.

WYPOWIEDZI PISARZY POLSKICH

Pierwszy tegoroczny numer miesięcznika austriackiego „Wort in der Zeit", poświęcony został ocenie literatury austriackiej w związku z dziesięcioleciem istnienia tego pisma. Wśród wielu wypowiedzi autorów krajowych i zagranicznych, znajdują się również dwa głosy polskie: Jana Parandowskiego i Romana Karsta. Obydwaj autorzy zwracają uwagę na tradycyjne sympatie do Austrii, Wiednia i literatury austriackiej, która wydała tylu znakomitych pisarzy, zwłaszcza prozaików. Obaj też postulują ściślejsze związki pomiędzy literaturami polską i austriacką oraz częstszą wymianę kulturalną, spotkania i dyskusje literackie przy okrągłym stole. Jan Parandowski przypomina w swojej wypowiedzi nestora pisarzy austriackich — Franciszka Teodora Csokora, z którym od lat pozostaje w stosunkach przyjacielskich.

J. IWASZKIEWICZ W „LITTERATURNOJ GAZIECIE"

Polscy autorzy cieszą się dużą sympatią wśród radzieckich czytelników.

„Litteraturnaja gazieta" z 9 lutego br. zamieszcza obszerny wywiad przeprowadzony z naczelnym redaktorem „Twórczości" Jarosławem Iwaszkiewiczem. Jest to niejako podsumowanie 20-letniego dorobku miesięcznika oraz wkład poszczególnych naszych pisarzy w sprawę rozwoju ogólnonarodowej kultury.

„Myślę — mówi Iwaszkiewicz — że możemy śmiało powiedzieć: miesięcznik nasz w ciągu minionych 20 lat zdobył popularność w Polsce i poza jej granicami. Na łamach „Twórczości" były drukowane nazwiska prawie wszystkich rodzimych i obcych pisarzy".

SCHAFF I ŻÓŁKIEWSKI

Praski tygodnik „Literarni noviny" (23 stycznia br.) zamieszcza wywiady z Adamem Schaffem i Stefanem Żółkiewskim. Autor wywiadów, Miloš Ruppeldt, podaje krótkie charakterystyki obu polskich uczonych, a następnie zadaje im pytania na temat ich pracy oraz problemów współczesnej myśli marksistowskiej.

Odnotujmy również, że w bratysławskiej „Kulturni tvorbie" (z 21 stycznia br.) znajduje się duży wywiad z prof. Janem Szczepańskim na temat dróg socjologii polskiej. Wywiad przeprowadził Ota Klein, a karykaturę Szczepańskiego wykonał Jiri Blażek.

Sama zdobywając Kartaginę...

Dalszy ciąg ze str. 1

łowca) skierowano właśnie do tej firmy.

Od razu wpadła jak na konwejer: stal jest wykładnikiem industrializacji, roboty było huk. Opracowanie elementów projektu z punktu widzenia konstrukcyjnego. Próbne montaże, dopasowywanie części. Gotowe elementy do montażu. Wizyty w warsztatach i na placach budów. Osiem i pół godziny pracy przy temperaturze przeciętnej w pomieszczeniu 35 stopni Celsjusza. Dom: przerażająca pustką kątów. Za morzem pozostał mąż i dziewięcioletnia córka. Tu samej ani pójść do kina, ani na plażę. Jeżeli kawa, to jedynie „Cafe de Paris": w kafejkach arabskich, licznych jak grzyby po deszczu, sami mężczyźni.

Ten chleb nie był łatwy. Co tu dużo gadać, w Tunezji własna kadra techniczna jakby nie istniała. Dopiero się tworzy: tak jak wszędzie, gdzie rządził kolonializm. Tunezyjczycy mają np. znakomitych lekarzy (była to zawsze arabska specjalność, jeszcze myśmy się od nich przed wiekami uczyli), brak im natomiast kwalifikowanych inżynierów i techników. Zespół, którym kierowała pani Wanda (zresztą bardzo płynny), składał się z młodych techników, u których, jak to bywa z młodymi ludźmi wszystkich szerokości geograficznych, zasób wiedzy stał w odwrotnej proporcji do mniemania o sobie. Któż im miał rozkazywać, kto pouczać? Kobieta?

Śmiechu warte.

Istnieją na przykład znaki umowne, którymi określa się na planach śruby, nity, określone średnice — cały kod projektowy dla warsztatowców. Polacy czy Niemcy tego bardzo przestrzegają. Francuzi ponoć mniej, może dlatego podwładni pani Wandy nic o tym nie wiedzieli, co gorsza nie bardzo się tym przejmowali. Pani Wanda z kobiecą akuratnością wykonywała tabelkę wzorcową. Jeden z techników, chłopak równie inteligentny, co zarozumiały, zlekceważył tabelkę, porobił głupstwa. Trzeba przyznać, wytrzymała to, nie zwracając uwagi, aż do momentu, kiedy sytuacja dojrzała. I wtedy, z rozmysłem i perfidnym wyrachowaniem, urządziła po prostu normalną, regularną scenę, połączoną z darciem rysunków. Chłopak zdębiał: mógł się oprzeć męskiej zaryżliwości, ale cóż począć wobec żywiołu kobiecej broni, histerii? Poskutkowało: odtąd byli wielkimi przyjaciółmi. Nie nadużywała tych sposobów, zdarzyło się wszystkiego dwa razy, ale z rezultatami. Mój Boże, gdyby znali dobrze dzieje świata muzułmańskiego, wiedzieliby, że z Polkami zawsze było trudno, choćby z pewną polską żoną pewnego sułtana, która stała się kiedyś przyczyną wojny!

Wątpliwe, czy pani Wanda słyszała o tej żonie. Z początku bała się iść w zaułki i bazary, ale wkrótce przekonała się, że znacznie tu bezpieczniej samotnej kobiecie niż na Targówku (ciekawe, jak często dochodzą nasi specjaliści do podobnych wniosków w różnych egzotycznych stolicach. Nie chciała przyjąć służby, choć tego wymagał obyczaj. Grubsze roboty, gruntowne sprzątanie i wielkie pranie załatwiała przy pomocy znajomej rodziny włoskiej. Ale z praniem osobistych drobiazgów musiała się kryć przed sąsiadami: nie wypada robić tego samej, choć wypadało samej rozwiązywać najrozmaitsze problemy konstrukcyjne, które zmieniały się szybko jak sygnały na tablicy testów refleksu.

W krajach przez wieki trzymanych w zacofaniu, wszystko musi rozkwitać równocześnie: a więc na warsztacie rosły jedna za drugą: fabryka drobnych narzędzi, fabryka tekstylna (personel tej fabryki szkolił się w Łodzi), stacje benzynowe, wiaty dla samochodów elementy rafinerii w Bizercie.

Konwejer nie stawał. W planie trzeba było uwzględnić i odchylenia lokalnej natury, jak spadek wydajności o 50 proc. w okresie długiego postu muzułmańskiego, Ramadanu. Całe szczęście, że w warsztatach był swój człowiek, ten drugi Polak, pan Jakimowicz z Poznania; rozumieli się i uzupełniali wzajemnie. Ale już za progiem biura była sama.

Sama. To słowo nie przypadkiem weszło do tytułu. Mężczyzna w obcych krajach, w klimacie tropików, źle znosi samotność; kobieta nie znosi jej wcale. Samotność mężczyzny na odległych kontynentach to rzecz przygnębiająca samotność kobiety to rzecz straszna. Jest ona zdolna do dzielności znacznie większej niż męska i do czynów bohaterskich, ale jeśli musi walczyć samotnie to walczy z jeszcze jednym wrogiem, którym jest własna jej natura. Ileż to pań zwierza się: „kiedy jestem sama nie chce mi się nawet robić sobie czegokolwiek do zjedzenia".

I nie pomaga, że przecież żyje się wśród ludzi z gruntu życzliwych: gdzie by to u nas konduktor zatrzymał autobus w pół drogi między przystankami i pomógł pasażerce złapać taksówkę? W mieszkaniu, zbyt dużym na jedną osobę, pustka wyziera zewsząd. Nie mogła nawet czytać książek. Przebrawszy się po pracy, biegła do miasta, choćby miała sama błądzić po ulicach. Znalazła sobie zresztą towarzystwo z polskiej ambasady i radcostwa handlowego, z którym jeździła na wycieczki; był kolega Polak nawet z „Dauphinką". Ale to tylko zmniejszało wyobcowanie nie likwidując go. Kobiety arabskie, z którymi przecież znalazłaby jakiś wspólny język, były niedostępne, odgrodzone swymi zasłonami ciągle jeszcze — pomimo apelów postępowych przywódców — tajemnicze i zawoalowane. Te, które odsłoniły twarze, pracowały najwyżej jako stenotypistki i kancelistki, i to rzadko.

Wycieczki: właściwy relaks w kraju, gdzie wykopalisko na wykopalisku, tutaj stała przecież Kartagina; dokumenty starej cywilizacji można odczytywać tak w starych ruinach, jak w rysach współczesnych Tunezyjczyków, choćby w pięknym profilu Bourguiby. Daugga: w ruinach teatru sztuki klasycznej szła akurat „Fedra". Coloseum w El Djens, Kartagina, co za rozczarowanie, mało ciekawa, niewiele zostało. Rzymianie lubili solidną robotę. Stary punicki port wojenny, gdzie odkryto miejsce składania ofiar bogini Tanit, tej mutacji Astarte (jakże krwiożerczy symbol kobiecości), poświęcano jej — o zgrozo — pierworodnych synów. W czasie wakacji przyjechała córka pani Wandy. Były jeszcze pertraktacje i co do męża; ma dobry zawód; romanista, w Tunezji brakowało sił nauczycielskich. Ale jak na złość, po latach nieobecności zaczęli akurat wracać Francuzi. Więc skończyło się na tym, że córka przyjechała sama. Pani Wanda była nieprzytomna ze strachu, córka zaś wylądowała zachwycona, w czasie podróży nocą zwiedzała kanały w Amsterdamie i uznała Amsterdam za najpiękniejsze miasto świata. Kiedy potem wracała przez Rzym, zaczęła się podobno wahać. Pani Wandzie ani pewnie do głowy nie przyszło, po kim ta samodzielność i zamiłowanie do podróży.

A przede wszystkim praca i praca. Czasami trzeba było walczyć po męsku, jak w sprawie tej huty. Projekt przyszedł niemiecki, nieźle zrobiony, konstrukcja całkowicie spawana, doświadczony specjalista na pierwszy rzut oka widział że tysiące tu różnych elementów do opracowania. A miała to być pierwsza huta stali w Tunezji, więc i pierwszy tego rodzaju projekt. Poszła jakoś po przedsiębiorstwie fama: „tu nie ma nic do roboty", nawalono na warsztat kupę innych zamówień. Pani Wanda wiedziała dobrze, czym to pachnie: jeden dźwigar to dwa dni dla warsztatu, a dla biura — tydzień. Posłała pismo do dyrektora Ali M'Heni („żeby była podkładka" — to jeszcze nauka z kraju) na własną odpowiedzialność przestawiając personel tylko na opracowanie elementów huty, delegując do innych zleceń jednego pracownika.

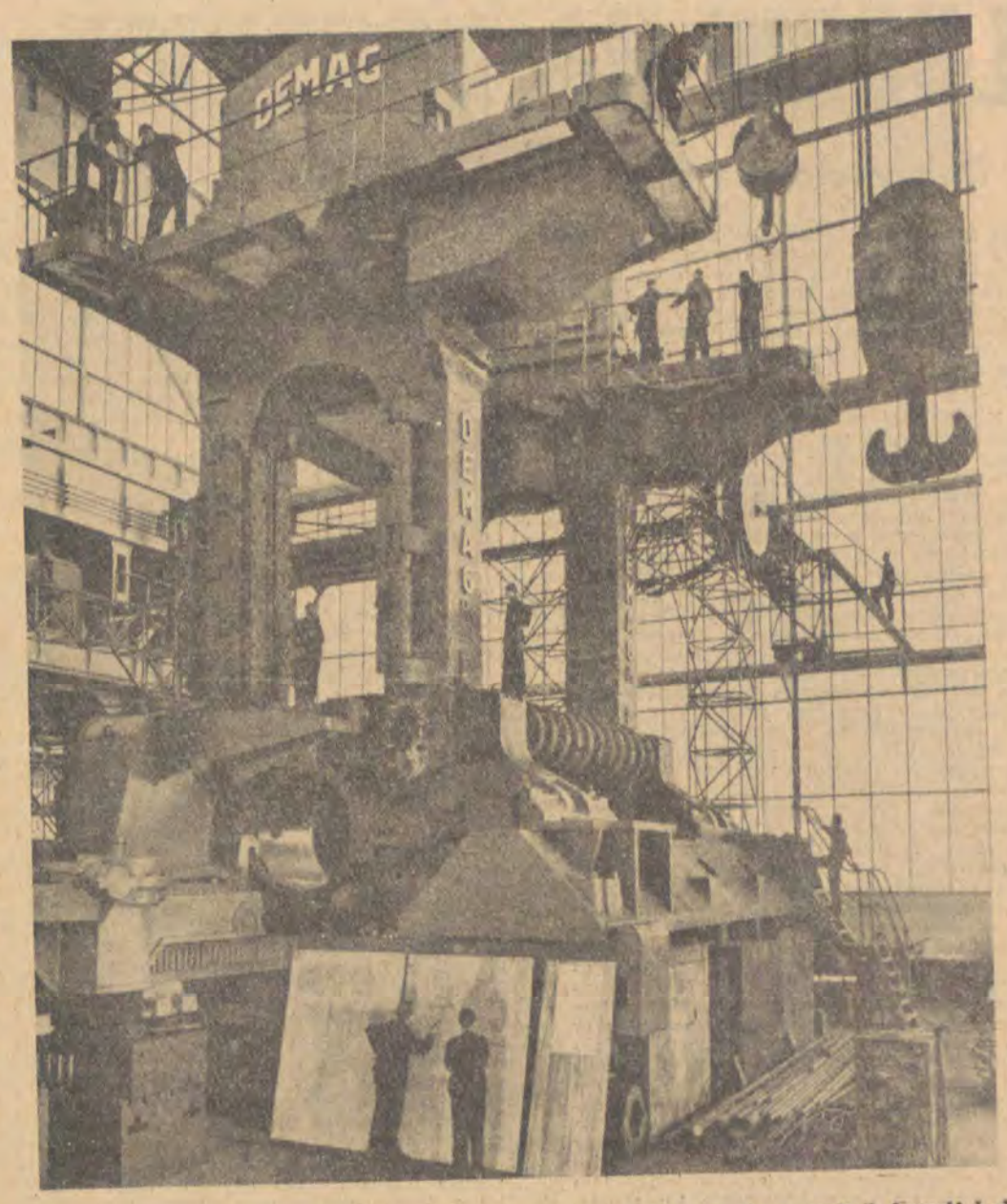

Potem zrobiło się gorąco, terminy się napięły, narada produkcyjna, przyjechał sam patron wymyślał pracownikom; pani Wanda powiedziała: „zwracałam uwagę, postrzegałam". Teraz dopiero zahamowano całkowicie inne zamówienia. I spotkało ją niezwykłe wyróżnienie: boss, który dla nikogo nie miał właściwie czasu, oświadczył, że może przychodzić do niego z każdą sprawą w każdej chwili. Zresztą, poza tym poważniejszych konfliktów nie było. Dyrektor techniczny przedsiębiorstwa, człowiek otwartej głowy, po kilku fakultetach w Paryżu, choć sam na konstrukcjach stalowych niezbyt się znał, miał zaletę, którą należałoby wpajać wszystkim ludziom u steru: cenił fachowość i słuchał zdania ekspertów.

Takie to były etapy pani Wandy własnego, prywatnego zdobycia Kartaginy. Odkrywała ją, aż od ruin wybrzeża do wykutych w skale miast w księżycowym pejzażu południowej Tunezji: na początku jest pustka, ale gdy się wspiąć, góry się ożywiają: ludzie, dużo ludzi, ulice w skale, stajnie dla wielbłądów w skale, typowo arabskie dziedzińczyki, także meczety — w skale. Są to już ostatnie takie miasta; ludzie ci przenoszą się do domów, które opuścili Francuzi.

Ale może jeszcze większą przyjemność sprawiały odkrycia drobne i intymne, jak ta mauretańska kawiarenka w Sidi Ben Said, gdzie nareszcie mogła wejść jako kobieta, zdjąwszy uprzednio obuwie; podawano tam świetną, esencjonalną kawę. Albo inna przyjemność — uśmiech dziewczyny, którą fotografowała; mężczyzna by tego zrobić nie mógł — miałby grube nieprzyjemności.

Mówi pani Wanda:

— Na początku każdy dzień z ulgą skreślałam w kalendarzu. Po trzech miesiącach robiłam to mniej gorliwie. Po pół roku skreślałam coraz rzadziej, a po roku zdawało mi się, że już za chwilę wyjeżdżam i robiło mi się żal.

STEFAN BRATKOWSKI
JERZY ZIELEŃSKI

DARIUSZ GREULICH

O czasie wolnym młodzieży na stancji

Od paru już lat w artykułach na temat uczniowskich stancji przewija się wzmianka, że wśród dużych miast Łódź posiada najmniejszy procent młodzieży szkół średnich, korzystających z internatu. Oznacza to siłą rzeczy **dużą ilość stancji prywatnych, którymi nikt się dotychczas poważniej nie interesował.**

Wstępne badania nad młodzieżą ze stancji, przeprowadzone w grudniu ubiegłego roku przez Łódzki Pałac Młodzieży i Katedrę Pedagogiki UŁ **pozwoliły uchwycić 876 stancjowiczów w 36 szkołach średnich w Łodzi.** Liczba ta daje podstawę do twierdzenia, że mamy aktualnie w naszym mieście ok. 2 tys. uczniowskich stancji prywatnych.

Jednym z głównych celów wspomnianych badań było sprawdzenie jak wygląda czas wolny młodzieży ze stancji. Wbrew oczekiwaniom okazało się, że mimo trudności mieszkaniowych młodzież ta prawie **cały czas po szkole spędza na kwaterze.** Wśród 271 badanych stancjowiczów 92 proc. stwierdziło, że codziennie po szkole uczy się na stancji, a 62 proc. to samo odnośnie dni wolnych od nauki.

Jeśli dodamy do tego, że zaledwie jednostki spośród badanych korzystają z instytucji wychowania pozaszkolnego i instytucji kulturalnych to powstaje pytanie, **czy do młodzieży tej można stosować pojęcie czasu wolnego,** który zgodnie z definicją prof. Dumazdiera, zatwierdzoną na IV Międzynarodowym Kongresie Socjologów w 1958 r., obejmuje czas pozaobowiązkowy, przeznaczony na przyjemny, kulturalny wypoczynek i realizację zainteresowań, wzbogacających osobowość człowieka. Toteż wydaje się, że właściwiej będzie mówić nie o czasie wolnym, a o czasie pozaszkolnym młodzieży ze stancji.

Od jakich czynników zależy organizacja czasu pozaszkolnego młodzieży? Zazwyczaj wymienia się środowisko domowe i szkołę. Do tych dwóch należy chyba dodać trzeci czynnik — instytucje wychowania pozaszkolnego. Rozpatrzmy te czynniki w stosunku do stancjowicza. **Warunki domowe nabierają tu szczególnego znaczenia, gdyż właśnie one są podstawą wyodrębnienia tej grupy młodzieży.**

Na podstawie dotychczasowych publikacji, a także wspomnianych badań, można zdecydowanie określić, że młodzież na stancjach ma niesprzyjające warunki życia i nauki tak w aspekcie materialnym jak i społecznym.

W sensie społecznym mieszkanie na stancji cechuje brak zrozumienia potrzeb młodzieży przez otoczenie, brak zainteresowania jej postępami; nierzadko obojętność i brak jakiejkolwiek kontroli, obok częstych prób wykorzystywania dziewcząt z młodszych klas do pracy w domu.

Przy niesprzyjających warunkach mieszkaniowych stancjowicza, **obowiązkiem szkoły jest mu pomóc i równoważyć negatywny wpływ stancji.** Czy szkoła to czyni? W prasie naszej postuluje się od czasu do czasu upowszechnienie doświadczeń niektórych miast, a nawet szkół, które prowadzą inwentaryzację stancji i ich przydział, udzielają młodzieży stypendiów i pozwalają korzystać z posiłków w internacie. Są to jeszcze nieliczne próby, które obecnie znalazły podstawę prawną w zarządzeniu ministra oświaty w sprawie stancji (Monitor Polski Nr 84 z 10 grudnia 1964 r.). Wydaje się jednak, że nawet tam, gdzie podejmuje się takie próby regulowania problemu stancji, aspekt wychowawczy — otoczenie młodzieży ze stancji wzmożoną opieką i organizowanie jej czasu pozaszkolnego — wyraźnie jest niedoceniany.

Formalnie rzecz biorąc, szkoły wykazują pewne zainteresowanie młodzieżą ze stancji.

Niewątpliwie, już sam moment zainteresowania ma swoje znaczenie, choćby to była nawet wizyta trójki klasowej, którą interesują najbardziej personalia gospodarzy i rozkład mieszkania. Idzie jednak nie o zainteresowanie doraźne, stwierdzające stan rzeczy, lecz o stałą opiekę. Opiekę tę realizować może tylko wychowawca, który w klasie ma maksymalnie kilku stancjowiczów. Tylko on może stworzyć atmosferę zainteresowania postępami ucznia, kontrolować wyniki, służyć radą, aktywizować stancjowicza społecznie i kulturalnie.

Co do świetlic, domów kultury, klubów i innych instytucji wychowania pozaszkolnego, sprawa jest o tyle prosta, że w świetle dotychczasowych publikacji jak i badań prowadzonych w Łodzi, nie wywierają prawie żadnego wpływu na organizację czasu pozaszkolnego młodzieży ze stancji.

Wynika z tego, że ani szkoły, ani instytucje wychowania pozaszkolnego nie równoważą niesprzyjających warunków stancji i nie pomagają młodzieży organizować czasu pozaszkolnego. Można postawić pytanie, czy czas ten może być tak organizowany, by młodzież miała kulturalną rozrywkę jeśli badania prowadzone nad młodzieżą szkół zawodowych, mającą przeciętne warunki domowe, wykazują przeciążenie nauką i brak czasu wolnego.

Wydaje się, że właśnie ze względu na obowiązki szkolne i trudne warunki mieszkaniowe **stancjowicz wymaga specjalnej opieki.** Młodzież na stancji traci dużo czasu bezproduktywnie, często nie potrafi uczyć się odpowiednio. Tak ze względu na higienę pracy umysłowej jak i względy natury wychowawczej młodzieży tej należy się kulturalny odpoczynek, lecz aby go mogła mieć trzeba ją organizacji czasu pozaszkolnego nauczyć, trzeba nauczyć ją korzystać ze świetlic, a także wciągnąć w życie społeczne.

W świetle naszych badań nie potwierdzają się sugestie jakoby młodzież ze stancji gorzej się uczyła i często opuszczała lekcje. W 17 klasach pierwszych technikum stwierdzono po pierwszym okresie 42,4 proc. uczniów z ocenami niedostatecznymi i przeciętnie 12,8 godzin opuszczonych przez jednego ucznia: a ze 113 stancjowiczów w tych klasach tylko 32 proc. miało oceny niedostateczne przy opuszczonych przeciętnie 4,8 godzinach. Niemniej, w klasach tych już po pierwszym okresie odpadło na skutek złych wyników pięć dziewcząt ze stancji. Dziewczęta te wyjechały do domu. Ich wychowawcy nie mogli o nich nic więcej powiedzieć poza ogólnikowym stwierdzeniem: „niezdolna", „nie nadawała się". Fakty te dają dużo do myślenia.

W 20 technikach łódzkich uczy się 614 uczniów przebywających na stancjach, z tego aż 282 w klasach pierwszych, a tylko 37 w klasach piątych. Nawet biorąc pod uwagę rozwój szkół i przydział niektórym uczniom miejsca w internacie jasne się staje, że młodzież ze stancji — „wykrusza się" i to najczęściej nie na skutek złych warunków mieszkaniowych, gdyż jest to na ogół twarda, chłopska młodzież — wykrusza się najczęściej dlatego, **że osamotniona w dużym mieście, nie potrafi zorganizować sobie nauki i czasem załamuje się pod wpływem trudności.**

Młodzież ta bardziej potrzebuje stałej opieki wychowawczej niż pomocy materialnej i sporadycznego kontrolowania stancji. W tym aspekcie należałoby przede wszystkim rozpatrywać jej sytuację, pomagając w organizowaniu czasu pozaszkolnego przez stwarzanie warunków odrabiania lekcji w szkole czy poza szkołą, wciąganie do organizacji młodzieżowych oraz uczenie korzystania z instytucji wychowania pozaszkolnego i instytucji kulturalnych.

LUDZIE NA BOCZNICY

Dalszy ciąg ze str. 1

napięcia palą papierosy, żeby skrócić czas wyczekiwania na dalszy transport i przedrzeźniają się z kolegami, tak samo umorusanymi po kilku godzinach pracy. Potem znów wyjdą na mróz i wiatr, gdzie na oblodzonych torach łatwo o wypadek czyli o śmierć, bo chociaż praca wymaga akrobacji nikt im tutaj siatki ratunkowej jak w cyrku nie rozepnie.

Z oszklonej na trzy strony świata manewrowni cały ten ruch pociągów, a raczej pojedynczych wagonów lecących na łeb, na szyję z górki rozrządowej, wygląda na zabawę modelami typu „Piko", które ojcowie kupują synom, aby razem z nimi przeżywać w wyobraźni podróże kończące się wyimaginowaną katastrofą. Tu, w manewrowni, imaginacja jest przywilejem kibica, który spogląda na manewry żelaza przez okno, wiedząc wszakże doskonale, że ma do czynienia z najprawdziwszą stalą, najprawdziwszymi ładunkami i najprawdziwszą koleją, która ma określone zadania przewozowe, obowiązujące rozkłady jazdy oraz dwa przykazania biblijne: bezpieczeństwo i punktualność. Starzy kolejarze widocznie wiedzą, jakie nastroje wywołuje u kibica widok pędzących zdawałoby się na ślepo wagonów, dlatego też grzecznie proszą, aby patrzeć sobie spokojnie przez okienko, ale nie patrzeć im na ręce w czasie tych manewrów, bez przerwy czynne i aktywne, przekładające coraz to inną dźwignię, szereg skomplikowanych czynności w ułamkach czasu; opóźnienie jakiejś czynności o sekundę prowadzi nieuchronnie do spiętrzenia wagonów, do blokady linii na ładnych parę godzin, aż się nie oczyści torów, po konsekwencje prokuratorskie włącznie, gdyż rozbicie pociągu zawsze się łączy ze stratami materialnymi. Przez ręce nastawniczych przepływają miliony zależne od ich koncentracji i napięcia, ale im samym trudno jest wyciągnąć, wbrew narodowemu przysłowiu, dwa patyki na miesiąc. Nic więc dziwnego, że do pracy tej nie ma wielu chętnych i tylko ludzie z prawdziwie kolejarskim instynktem decydują się na wykonywanie tej roboty. Po kolejnym rozrządzie pociągu nastawniczowie zwykle ciężko dyszą, chociaż ich wysiłek fizyczny, nawet gdy im przychodzi przerzucać zwrotnice mechaniczne, nie jest taki znowu wielki i w żadnym razie nie prowadziłby do takiej zadyszki. „Nerwy, tylko nerwy" — mówi Stefan Kubis, starszy nastawniczy, który po raz pierwszy wszedł do tej manewrowni dwadzieścia lat temu. „Fakt", wtóruje mu zawiadowca Edmund Schilf, „bo na zdechlaka, to pan, panie Kubis, nie wygląda".

Józef Chrustowski, który jest nastawniczym o sześć lat krócej od Kubisa, pali papierosa rozwalony na ławie w oczekiwaniu na rozrząd, którym teraz on pokieruje. Pracują bowiem na zmianę jeden zmienia drugiego, a poza tym w każdej chwili może zajść potrzeba interwencji i wtedy obecność kolegi równie zorientowanego w sytuacji może zapobiec katastrofie. Mówi, że mgła jest jeszcze gorsza od śniegu i mrozu, bo wtedy zupełnie nie widać, czy wagon już dostatecznie zbliżył się do rozjazdu, albo czy go minął. „We mgle trzeba działać na instynkt. Jeżeli on zawiedzie, to karambol i cześć".

Zawiadowca Edmund Schilf nie bierze udziału w tej licytacji pułapek czyhających na pomyłkę nastawniczych. Ma swoje własne zdanie jak człowiek, któremu przychodzi godzić jednych z drugimi, pamiętając o interesie wszystkich. Ma czterdzieści lat, z czego dwadzieścia przepracował na kolei. Na różnych stanowiskach. Miał również lata odstawki, na boczny tor, z którego dopiero wydarzenia październikowe 1956 r. przywróciły go na powrót pracy. Pracy, którą osobiście lubi, chociaż wydaje mu się za ciężka dla jego dzieci, które posyła do szkoły. Do Olechowa został przeniesiony służbowo z pobliskiego Andrzejowa, gdzie również był zawiadowcą stacji. Był to awans, ponieważ Olechów jest stacją dużo większą, stacją pierwszej klasy, chociaż dopiero Schilf postawił ją na nogi. Po trzech latach piastowania stanowiska zawiadowcy, wszyscy nie nazywają go inaczej niż Starym. Czyli ludzie zaakceptowali jego obecność i jego urząd, tak samo jak od początku zaakceptowali jego decyzje, kiedy ukrócił pijaństwo i szeptanie na ucho kwitnące za czasów poprzednika. Codziennie przed objęciem stanowisk pracy przez nową zmianę ludzie zbierają się w baraku częściowo wykorzystywanym jako szatnia i umywalnia, częściowo zaś jako miejsce spotkań załogi, gdzie manewrowi i nastawniczowie znajdują wspólny język z administracją, chociaż powiadają, że idą słuchać kazania; jeżeli zaś ktoś coś zbrechtał, to spowiada się z tego przed wszystkimi.

Nie, Schilf nie jest stary, na wygląd zresztą trzeba by mu odjąć z jakieś pięć lat z jego metryki. Dziś zresztą wygląda mniej korzystnie niż zwykle, mruży oczy piekące na śniegu z niewyspania. Akurat wczoraj, w czasie opadów śnieżnych i zamieci, przypadł mu długi dzień — dyżur administracyjny, który kierownictwo stacji samo sobie narzuciło, aby czuwać nad ruchem pociągów przez całą dobę i uczestniczyć w pracy ludzi zatrudnionych na nocnej zmianie. Czynności te pełnią społecznie, bez dodatkowego wynagrodzenia, gdyż kolejowa siatka płac ich nie przewiduje. Stojąc na peronie w oczekiwaniu na pociąg służbowy, który przewiezie nas z zachodu na wschód, gdzie mieści się barak zawiadowcy stacji, Schilf opowiada wrażenia minionej nocy. Zwykle robi się obchód, po którym można urwać się do domu i na parę godzin przytknąć głowę do poduszki (bo mieszka niedaleko w osiedlu kolejowym), ale są sytuacje, kiedy w czasie tego dobrowolnego dyżuru w ogóle nie można opuścić stacji. Wiaterek, którego w mieście może nikt nie odczuł, bez przerwy nawiewał śnieg na szyny. Ludzie przez całą noc dmuchali powietrzem z kompresorów odśnieżając zwrotnice, albo wydrapywali śnieg miotłami i ledwie skończyli, wiatr zaczynał swoje na nowo. Przepuszczali pociąg i znowu zabierali się do mioteł, cały czas na wietrze i mrozie, a gorącą strawę przywozi się pociągiem dopiero w południe. Najczęściej przywozi ją jakaś lokomotywa, która jedzie po pociąg do Łodzi, różnie się to organizuje, ale ludzie zawsze na czas dostają swoją łyżkę strawy.

Rozmowę skończyliśmy już w wagonie pociągu służbowego. Chodziło mi o działanie zwrotnicy w warunkach odbiegających od normalnych. „Na przykład w czasie długotrwałych opadów śnieżnych?", spytał Schilf i zaczął tłumaczyć, chociaż nie odpowiedziałem. Pojąłem z tego, że iglica zwrotnicy musi ściśle przylegać do szyny. Powinna być tak dopasowana, żeby papier włożony między nią a szynę nie dał się wyjąć bez porwania arkusza. Jeżeli odstęp będzie większy, na przykład kiedy szyna ulegnie oblodzeniu, stwarza to zawsze groźbę katastrofy. Instynkt kolejowy polega również i na tym, żeby przewidzieć, kiedy i jaka zwrotnica może ulec oblodzeniu I, oczywiście, do tego nie dopuścić.

Pociągiem służbowym drogę z zachodu na wschód przebywa się w ciągu paru minut. Wysiada się na peronie do złudzenia przypominającym tamten na zachodzie. Potem znowu baraki, nie dalej niż o dwa metry od bocznicy kolejowej i gdy siedzimy w gabinecie zawiadowcy stacji, cały budynek drży, jakby sam był pociągiem, a nie przejeżdżająca właśnie lokomotywa z kilkoma dziesiątkami wyładowanych wagonów. W pokoju prócz Schilfa i mnie znajduje się Mieczysław Przybysz, przewodniczący Rady Zakładowej oraz Eugeniusz Kosiński, zastępca zawiadowcy stacji. Potem wtacza się do pokoju zawiadowca rejonu budynków Stanisław Florczak, człowiek, który przepracował na kolei więcej niż połowę życia, kolejarz całą gębą z instynktem i doświadczeniem zawodowym, ale, który przed rokiem o mało nie wpadł pod przejeżdżający bez żadnej zapowiedzi elektrowóz, kiedy wyszedł na dwór ze swego biura. Siedzimy przy kawie zaparzonej po kolejowemu, to znaczy przy kawie po turecku z widokiem na bocznicę kolejową i perony; gdyby nie to, że rozmowę przerywa nam bez przerwy dzwonek telefonu, można by powiedzieć, że spędzamy ten czas najzupełniej spokojnie. Raz po raz pada słowo: mierniki, które już słyszałem na zachodzie z ust manewrowego zapytującego o to Schilfa. Wyjaśnia mi Przybysz: „Olechów bierze udział we współzawodnictwie między stacjami Widzew, Kutno, Białystok, Warszawa Praga i Warszawa Główna Towarowa. A więc partnerzy nie byle jacy. Liczy się w tej konkurencji właściwie wszystko: średni obrót wagonów, załadunek masy towarowej, awaryjność. I wszystko zależy od nas samych. A raczej od nas zależy jedno i najważniejsze — właściwa organizacja pracy".

Są nastawieni na rozrząd, na formowanie pociągów, na wysłanie do różnych stacji, w tym i do konkurentów. Tutaj do Olechowa przychodzą i stąd odchodzą, ale już przeobrażone, połączone w grupy wagonów z przeznaczeniem do tej samej miejscowości na szlaku. Liczba tych przyjeżdżających pociągów oraz ich dalsza trasa od olechowskiej towarówki nie zależy. Ale odjeżdżających, w jakiś sposób owszem. Istnieje bowiem takie pojęcie jak średnie obciążenie pociągu wysyłanego w drogę. Wyraża się ono u nich liczbą 1.275 ton. Wystarczy, aby każdy wyruszający transport był cięższy o 10 zaledwie ton, a to już daje oszczędność 70 całych, na kilometr długich pociągów, które stąd nie odeszły, chociaż towary dotarły do stacji swego przeznaczenia.

Do rozmowy miesza się Kosiński: „No tak, wszystko wyglądałoby rzeczywiście prosto, gdyby nie to, że życie lubi jednak komplikować sytuacje. Po pierwsze dlatego, że stacja przypomina trochę beczkę. Jak się przepełni, to się z niej wylewa. Po drugie zaś dlatego, że istnieje takie pojęcie jak średni planowany postój wagonu".

Ten średni postój udało im się skrócić o przeszło godzinę. To dało na przestrzeni roku ponad milion tzw. wagonogodzin. A ponieważ jednocześnie praktycznie udało im się wyeliminować awarie, wysunęli się na czoło konkurencji. Teraz większe i lepiej od nich wyposażone w nowoczesne urządzenia stacje patrzą na nich z zazdrością, gdyby wypadało przyjeżdżaliby do nich po naukę.

„A czy pan chce wiedzieć na czym w rzeczywistości polega istota tego sukcesu? Na zgraniu załogi". Po prostu trudno sobie wyobrazić sytuację, aby ktoś z ludzi nie pofatygował się i nie spróbował telefonicznie rozpoznać, czy przypadkiem przez stację nie będzie przejeżdżała „luzem" lokomotywa. Jeśli się tak przypadkiem zdarzy, oni tak po prostu maszynisty przez stację nie przepuszczą. Rad nie rad godzi się poprowadzić pociąg.

Zanim zdążyliśmy dopić kawę tuż za oknem przejeżdża kolejny, sformowany na olechowskiej towarówce pociąg, który ciągnie może zdobyczna, a może ujęta w rozkładzie jazdy lokomotywa. Bocznica żyje przepuszczając przez swą gardziel dziesiątki transportów. Przy sprzyjającym wietrze można usłyszeć dolatujący do baraku, chociaż już niezrozumiały z tej odległości charkot megafonu. Stacja towarowa Łódź-Olechów leży na uboczu głównego szlaku tranzytowego, ale nie na uboczu w ogóle. Leży bowiem w środku Polski. Ze względu na topografię i ze względu na pociągi wpadające stąd bez opóźnienia w transportowy krwiobieg naszego kraju.

KONRAD FREJDLICH

IRENA STANKIEWICZ

„ÓSMY i dni następne"

Osmy.... to bynajmniej nie dodatkowy dzień tygodnia. Mamy po prostu na myśli 8 marca — datę powszechnie znaną i nie wymagającą na pozór komentarzy. A jednak spróbujmy termin pod tytułem „8 marca" skonfrontować z opinią najbardziej zainteresowanych, a więc kobiet:

— Co kojarzy się pani z dniem 8 marca?, co pani sądzi o „Święcie Kobiet", do czego pani dąży, czego się spodziewa! O odpowiedzi prosimy kobiety w różnym wieku i na różnych stanowiskach.

MGR PRAW:

— Święto Kobiet? 8 marca? Abstrahując od treści politycznych, a więc walki o pokój, międzynarodowej solidarności kobiet pracujących, święto to wydaje mi się czymś degradującym. Kojarzy mi się ze „świętem lasu", „świętem morza"! Czemu nie ma „święta mężczyzn"? Sądzę, że bardzo by się przydał naszym panom taki jeden dzień świątecznych refleksji na temat: obowiązki mężczyzny w życiu codziennym i rodzinnym.

MASZYNISTKA:

Prawdę mówiąc czekamy na ten jeden dzień w roku kiedy mężczyźni dają nam odczuć, że jesteśmy żonami i matkami. Nawet tak jak by weszło w krew moim dzieciom i mężowi, że przynoszą mi nie tylko podarunki i laurki, ale okazują uczucie i szacunek. W tym dniu robią wszystko dla mnie i wszystko za mnie, co jest bardzo miłe i zostaje jako wspomnienie. Wierzę, że staje się to nawykiem nie tylko odświętnym. Mężczyźni przecież zawsze mają „domowe" święto, trzeba ich więc ćwiczyć różnymi sposobami.

BIURALISTKA:

U nas w biurze panowie są bardzo uważający dla kobiet tego dnia. Przynoszą każdej pani kwiatek, niektórzy nawet cukierki i czekoladki. Czuje się, że jest jakiś inny, świąteczny dzień. Mój Boże, życie jest takie szare, nic się nie dzieje. Dom i biuro, biuro i dom, więc każde takie wytchnienie jest dobre. No nie?

NAUCZYCIELKA:

— Obchodzę wiele dni — „Dzień nauczyciela", „Dzień matki", „Dzień dziecka", no i oczywiście „Dzień Kobiet". Szczerze mówiąc, znacznie poważniej traktuję „Dzień nauczyciela". Jest to jakiś ukłon w stronę naszej niełatwej pracy. Ale czy „Dzień Kobiet" w naszym kraju nie został zbanalizowany? Oczywiście nie mam na myśli ideowego programu tego dnia, a raczej jego wyraz formalny. Bo chociażby, skoro pewne sumy wydatkuje się na to święto, czy nie warto zamiast drobnych upominków zorganizować wycieczki (do Zakopanego, Warszawy), uruchomić poradnię, żłobek imienia 8 marca?

PRZĄDKA:

— Co mi tam 8 czy 9 marca. Nikt za mnie prania, prasowania nie zrobi. Kwiatuszka do mężowskiego kożucha nie przypnę, bo by jeszcze jakiej młodszej ofiarował. A może by i ten kwiatek przepił. Mnie to wszystko nie w głowie. Niech więcej pralek wypożyczają, niech będzie więcej produktów w bufecie fabrycznym, cukierek sama dziecku kupię.

MŁODA SZWACZKA Z ZAKŁADÓW DZIEWIARSKICH:

— Nie mogę powiedzieć, lubię 8 marca, zawsze jest jakiś ubaw. Chłopaki są grzeczniejsze. Ja lubię się bawić, nigdy mi nie za dużo tańców, a 8 marca zawsze się jakaś zabawa trafi. A i nie zawadzi posłuchać jakiegoś referatu o tym, jak kobiety żyją na całym świecie.

TECHNIK ODZIEŻOWY:

Nie ukrywam — jestem już niemłoda. To widać zresztą. Takich jak ja, wcale może niebrzydkich babek, jest dużo. Złośliwi o nas mówią — „ugory życiowe". Kradniemy chwile. Jedną z tych chwil jest święto 8 marca, kiedy to rozjaśnia się naszym babkom twarz. Jak to powiadają — po dobrej niedzieli, poniedziałek piękniejszy. Dobrze więc się dzieje, gdy zakład zadba dla nas o trochę rozrywki, jak: tańce, teatr, wieczornica. Wszystko specjalnie dla babek!

BABCIA:

Cieszę się, że mamy teraz „Dzień babci". Na głowę babci spada przecież cały dom, jesteśmy za te gospodynie domowe. I jesteśmy już słabe, sterane życiem, nie zawsze dość szanowane. Wydaje mi się, że takie dni mogą obchodzić istoty słabe. A gdyby tak zamiast „Dnia Kobiet" urządzić „Dzień człowieka", żeby ludzie nie rozpychali się łokciami, choć przez jeden dzień, nie złorzeczyli w tramwaju, czy kolejce, żeby nie zapominali się uśmiechać, o zdrowie zapytać, żeby nie byli tak zapatrzeni tylko w siebie. Mówi się, że starzy ludzie nic nie widzą, oprócz siebie. Obawiam się, że nie tylko. A sformułowanie „Święto człowieka", brzmi zbyt patetycznie, lub staroświecko? Niechaj zatem „8-marca" stanie się synonimem dobrych uczuć, uprzejmości wzajemnej! Czy dożyję dnia, gdy owo „homo homini lupus est" nie będzie ciągle święciło triumfów?!

DZIAŁACZKA LIGI KOBIET:

Tegoroczny 8 marca obchodzimy pod znakiem 20-lecia naszej organizacji. Mieliśmy w tym okresie niemało ofiarnych koleżanek, które pracowały społecznie, udzielając się z pełnym poświęceniem. Zorganizowana została komisja historyczna, zbierająca dokumentację. Pragniemy więc podczas akademii, spotkań z kobietami ukazać sylwetki zasłużonych działaczek Ligi Kobiet.

Działaczki otrzymują nagrody i wyróżnienia.

TKACZKA:

— W naszym zakładzie, by uczcić „Dzień Kobiet", podjęłyśmy zobowiązanie utworzenia koła kobiet-krwiodawczyń. Leżałam niedawno w szpitalu i robili mi dwie transfuzje. Widziałam co to są za kłopoty, gdy brak w szpitalu krwi. Nasze kobiety apelują, by i inne kobiety Koła Ligi Kobiet zorganizowały podobne grupy krwiodawczyń.

ABSOLWENTKA WYDZIAŁU WŁÓKIENNICZEGO WYŻSZEJ UCZELNI:

— 8 marca wydał mi się datą mityczną, dopóki nie przekroczyłam progów fabryki. Emancypacja kobiet w zakładzie przemysłowym, wcale nie jest sprawą tak bardzo bezsporną, jak to się niewtajemniczonym wydaje. Bez przekonania patrzy się na kobietę majstra, długo i dyplomatycznie trzeba sobie budować autorytet nawet będąc już inżynierem. W tej chwili Koła Kobiece w zakładzie lub „Święto Kobiet" nabiera dla mnie nowego znaczenia i nowej treści. Bynajmniej nie jestem zwolenniczką przesadnej feminizacji, ale z okazji 8 marca życzę kobietom na stanowiskach, by stworzyły taką atmosferę, postępowały tak, by mogły wytrącić broń z ręki tym, którzy mają jeszcze mnóstwo oporów wobec kobiet pracujących na wyższych stanowiskach w fabryce. Głoszę zasadę, że dobra robota obroni się sama. Mecenasów jej nie trzeba, ale przecież z przesądami — i wybaczcie to słowo — z głupotą — walczyli bogowie daremnie.

LEKARKA:

— 8 marca — no cóż, szczerze mówiąc nie mam zbyt wiele czasu, by myśleć o tej sprawie. Tak dużo jest literatury do przeczytania, tylu pacjentów. Nie trzeba mi przypominać, oczywiście w społecznym sensie tego słowa, że jestem kobietą. Obserwuję moje pacjentki. Są one przeciążone balastami życiowymi. Niestety, stare hasło — „odciążyć kobietę pracującą!" — nie starzeje się. A szkoda. To paradoks, my się starzejemy, a hasła broniące nas są ciągle młode. Może byłoby bardziej „w stylu" nie akcentować paradoksów emancypacji, która nierzadko sięga granic maskulinizacji, (tworzenie się tzw. trzeciej „płci", jak „kobieta na murze") i z drugiej strony słaba Ewa w życiu rodzinnym, w sensie biologicznym, nierzadko psychologicznym.

Przepraszam, że się tak rozgadałam, ale skoro zaczyna się mówić na tematy obyczajowe nie wystarczy godzin jednego 8 marca.

• • •

Sądzimy, że ostatnie słowo w naszej ankiecie jeszcze nie padło. Niewątpliwie będzie dla nas niemałą satysfakcją, gdy w wypowiedziach tych znajdziecie słowo prawdy o sobie, jakieś fragmenty istotnych obserwacji i refleksji. A jeżeli tak się nie stało, prosimy: napiszcie lub zaprotestujcie!

O NARKOTYKACH I NARKOMANACH

Marihuana jest rośliną uprawianą głównie w Meksyku, z której wysuszonych kwiatów sporządza się narkotyzujące papierosy, o tej samej nazwie, zawierające alkaloid marihuanę. Jest ona najtańszym i najłatwiej dostępnym, „bezpiecznym", tzn. nie wywołującym większych i trwałych zaburzeń psychicznych narkotykiem. Kosztujący 50 centów papieros wprawia palacza w stan pobudzenia, w którym wszystko wydaje się piękniejsze, barwniejsze i łatwiejsze. Ciekawe, iż marihuana powoduje obojętność seksualną; „Żadna dziewczyna nie zaszła w ciążę na party z marihuaną" — twierdzi jeden z palaczy. W ostatnich latach w Kalifornii, na razie nieśmiało, odzywają się głosy nawołujące do oficjalnego wprowadzenia marihuany na rynek.

Marihuana jest bardzo modna w środowisku młodzieżowym — w slumsach wielkomiejskich, w szkołach czy na uniwersytetach (co piąty student słynnego uniwersytetu Harvard pali marihuanę!). Z wiekiem zwolennicy albo porzucają nałóg, lub zastępują marihuanę silniejszymi środkami, zwłaszcza popularną w Stanach heroiną. Nie zawsze tą drogą dochodzi się do heroinomanii, lecz ta jest szczególnie częsta i łatwa. Palacze marihuany są potencjalnymi nabywcami heroiny czy innych silnych narkotyków i handlarze tych ostatnich często organizują „punkty kontaktowe" palaczy marihuany, przez które rozpowszechniają silniejsze środki.

Popularność marihuany jest tak duża, że nie tylko powstał specjalny żargon palaczy tego narkotyku, lecz przedostał się on nawet do języka codziennego. I tak: — pot — garnek — oznacza marihuanę, head — głowa — palacza, joint — złącze — papieros, connection — kontakt — handlarza, fix — umocować — wypalenie papierosa, to be high — być wysoko — stan euforyczny, push — pchnąć — sprzedać marihuanę, itd.

Stany Zjednoczone są krajem najciężej dotkniętym „plagą" narkotyków. Wg szacunkowych obliczeń Federalnego Biura do Walki z Narkotykami (opartych jedynie na statystyce szpitali i punktów leczenia narkomanów) w USA jest ich ok. 60.000, z czego prawie połowa w Nowym Jorku. Informacje o rozmiarach narkomanii są niezwykle trudne do zdobycia i podawane w biuletynach oficjalnych, cyfry są znacznie niższe niż prawdziwe. Wiadomo np., że roczny obrót „przedsiębiorstw" handlu narkotykami w USA wynosi ok. pół miliarda dolarów, że do Stanów szmuglowanych jest rocznie 1,5 tony samej heroiny, że narkoman tygodniowo na heroinę wydaje do 200 $! Wiadomo, że 1 gram heroiny kosztuje go do 300 $ podczas gdy cena płacona przez hurtowników wynosi ok. 20 $! Wiadomo, że gangi narkotyków i hazardu mają tych samych przywódców a ci wysokie protekcje wśród polityków kraju. Wiadomo, że zasięg narkomanii rośnie z roku na rok, że nie jest to już problem slumsów, czy gett murzyńskich, lecz problem dotyczący wszystkich warstw, a głównie coraz silniej owej podstawowej, bogobojnej, pruderyjnej warstwy średniej. W szkołach i na uniwersytetach powoduje obniżenie standardu nauczania, na drogach wzrost liczby wypadków, w statystykach policji wzrost przestępczości. Zagadnienie co gorsza jest znacznie bardziej poważne; niedawno wykryto gang narkomanów wśród pilotów eskadry bombowców z bronią jądrową.

Heroina, w żargonie po prostu H. jest acetylową pochodną morfiny. Sześć do siedmiokrotnie silniejsza od niej jest białym, lotnym i bezwonnym o silnie gorzkim smaku proszkiem, łatwo rozpuszczalnym w wodzie. Dawka śmiertelna wynosi ok. 60 miligramów. H. jest narkotykiem szczególnie łatwo prowadzącym do nałogu. W USA zaspokaja ona 90 proc. zapotrzebowania czarnego rynku narkotyków.

„H jest moją miłością, mym najdroższym dzieciątkiem — mówi jeden z heroinistów. — W jaki sposób człowiek jak ja, zarabiający 30 $ może żyć? Musi dokraść powiedzmy 150 $. Idę więc do pasera i pytam co dziś potrzebuje. Potem włóczę się szukając pijaków do obrabowania, miłej spokojnej pani, by wyrwać jej torebkę. Może czasem wejdę do wykwintnego bloku mieszkaniowego i biegnę od jednych drzwi do drugich próbując czy otwarte. Nigdy nie wiem, kogo spotkam za nimi; może Sonny Listona, może J. Edgara Hoovera. Zawsze jednak tak czy inaczej zdobędę mój pokarm".

Przed kilku dniami w Chicago kilkunastoletni narkoman zamordował człowieka dla 11 $.

Dla kobiet droga jest prostsza; szukanie pieniędzy na narkotyki nieodmiennie prowadzi do prostytucji. „Kiedy potrzebuję H wychodzę, podrywam frajera i zawsze dostanę 10, 15 może 20 $. Nie żałuj mnie człowieku — ja latam wysoko".

Na początku narkoman zadowala się wąchaniem H lub umieszczeniem jej pod językiem. Z czasem przechodzi do zastrzykiwania jej (w stanie stałym!) pod skórę, w następnym stadium do żył głównych przedramion, nóg, nawet szyi, czasem pod paznokcie. Narzędzia często monstrualne w pomyśle (zakraplacz do oczu, szpilki, igły, podpinki do włosów) czasem powodują groźne infekcje. Nie dotyczy to oczywiście lekarzy, wśród których trafia się wielu narkomanów (w ciągu ostatnich kilku lat 362 lekarzom w USA zabroniono praktyki).

Jak wykazały nieliczne dotąd badania psychiatryczne narkomanów cechuje brak wiary we własne siły, unikanie odległych celów, są oni bierni, najczęściej zależnymi od innych osobnikami. Poza momentami, gdy brak narkotyku zmusza ich do działania, aktów przemocy, czy nawet morderstw, unikają wszelkiej aktywności. Większość przestępstw popełnianych przez nich jest natury ekonomicznej.

Stosowane dotychczas metody walki z narkomanią okazały się mało przydatne. Np. na 1,5 tony szmuglowanej heroiny w 1963 r. celnicy przechwycili ok. 100 gramów. Wielkie nagłówki „Policja rozbiła 90 milionowy gang narkotyków!!!" są... reklamą gangsterów, sposobem motywacji podwyżki cen. Dochody z handlu narkotykami są tak wysokie, że gangsterów stać na opłacenie wielkiej armii niższych czy wyższych urzędników, polityków i działaczy. W związku z tym propozycja, by jak w Wielkiej Brytanii zezwolić na nabywanie narkotyków na receptę nie wydaje się mieć szans powodzenia. Rozwiązania połowiczne, o zasięgu stanowym (np. ustawodawstwo stanu New Jersey zezwala narkomanowi na wybór pomiędzy szpitalem z przymusową kuracją odwykową lub... więzieniem. Gubernator stanu New Jork w 1964 r. podwoił kwotę na działalność antynarkotyczną) nie mogą wpłynąć decydująco na problem mający tak szeroki zasięg. Dzięki dotychczasowym badaniom zdołano opracować metody szpitalne, które znacznie złagodziły proces leczenia narkomanów. Cóż, dotychczasowa praktyka wykazała, iż 75 proc. wyleczonych powraca do nałogu, w dodatku ponieważ koszty leczenia szpitalnego są bardzo wysokie a 65 proc. narkomanów figurujących w rejestrach oficjalnych rekrutuje się spośród najuboższych warstw i ta droga nie wróży sukcesów.

Jedyną skuteczną metodą likwidacji narkomanii byłoby zrozumienie jej źródeł i przyczyn, a następnie usunięcie ich. Nie wgłębiając się w szczegóły wydaje się dziś nieomal pewne, że przyczyną ucieczki do narkotyków są: duże napięcie emocjonalne, komplikacje życiowe, kłopoty i niepokoje — stany, którym szczególnie silnie podlegają ludzie młodzi. Hipotezę tę potwierdza fakt, iż około trzydziestego roku życia, a więc w okresie uzyskiwania pewnej stabilizacji życiowej, narkomani zaczynają „wycofywać się z nałogu a 45-letni narkoman jest rzadkim okazem. Podobnie wygląda statystyka w stosunku do psychopatów. Jeśli przyjąć tę hipotezę pozostaje tylko... zorganizować społeczeństwo w ten sposób, by trudy pierwszych lat świadomego życia człowieka nie przewyższały jego wytrzymałości psychicznej, by posiadał dalekie cele, lecz by droga do nich nie wydała mu się niemożliwa do przebycia. Cóż, dać każdemu człowiekowi cel w życiu i energię do osiągnięcia go! ...Czyż nie byłoby to uzyskaniem szczęścia absolutnego co najmniej w sensie społecznym!

L.U.

Arthur Miller: —studenci —problemy

Warszawski korespondent „New York Times" zamieścił w swym piśmie obszerną relację z pobytu w Polsce wybitnego dramaturga, Arthura Millera. Sądzimy, że zainteresuje ona naszych czytelników.

Na spotkanie z Arthurem Millerem polscy studenci przyszli dobrze ubrani, nieco onieśmieleni, i bardzo skupieni. Ich gość szczupły i wysoki, miał na sobie jak zwykle tweedową marynarkę. Na początku prelekcji zapalił papierosa, by jednak zaraz wrócić do swej ulubionej fajki.

— „W Ameryce są kursy na poziomie uniwersyteckim, na których młodzież literacka uczy się, jak pisać sztuki. Co pan o tym sądzi?" — zapytał jeden ze studentów.

— „Niedawno wykładałem na takim kursie — odpowiedział Miller. — Wydał mi się on pożytecznym pomysłem. Miałem ciekawe audytorium i mogłem obserwować jak chwyta ono w lot moje myśli. Uczęszczać na taki kurs, to może i sposób na to, by później nieco już pewniej spróbować własnych sił. Ale nawet jeśli przyjdą pierwsze drobne sukcesy, nie radziłbym nikomu traktować ich zbyt poważnie. A jeszcze trudniej w dramaturgii uzyskać wysoką i ustaloną reputację. Współczesna widownia jest niesłychanie wymagająca, wręcz kapryśna. Widz nie znosi, by go nudzono..."

Po tej wypowiedzi ktoś spytał Millera, czy w „Skłóconych z życiem" próbował on demaskować mit o dzikim zachodzie. Miller wydał się pytaniem zaskoczony.

— „Pomysł oczywiście był w jakimś stopniu antyromantyczny, bo też dzisiaj chyba każdy cowboy marzy o Hollywood. Film miał być jednak zarazem studium pewnej szczególnej postawy: miał mówić o osobniku w typie zanikającym już chyba wszędzie, przekonanym o swej niezależności od otaczającego go społeczeństwa, żyjącym własnym życiem i nieco zgorzkniałym..."

Arthur Miller cieszy się w Polsce ogromną popularnością. Pewien tutejszy reżyser powiedział nam, że wynika to chyba z czytelności sztuk Millera, na ogół wolnych od amerykańskiego, a więc nieznanego i trudnego dla polskiego widza, kolorytu lokalnego. Zaangażowanie społeczne tych sztuk sprawia, że wprowadzenie ich do repertuaru nie natrafia ze strony władz na żadne trudności. Właśnie teraz na scenę warszawska wchodzi „Incydent w Vichy". Ów reżyser w rozmowie z nami żartował, iż w Polsce gra się sztuki Millera, jeszcze nim pisarz zdąży je ukończyć.

Ale wróćmy do relacji z naszego spotkania ze studentami. I przy tej okazji nie krył Arthur Miller swego negatywnego stosunku do filmowych adaptacji sztuk scenicznych, a także nie szczędził złośliwości pod adresem krytyki. Gdy pewien student zapytał, jakim winien być idealny krytyk, Miller odpowiedział bez wahania: „Tak mały, że aż niewidzialny, a przy tym głuchy i niemy..." Po tym dowcipie stwierdził poważnie: „Nigdy nie nauczyłem się niczego od krytyków, oni piszą dla publiczności, a nie dla twórcy, nie dla artysty..." Na co replikował znów jakiś student: „W naszym kraju — powiedział ów młody człowiek — odnosi się czasem wrażenie, że mniej ważny jest sam utwór od tego, co o nim napisza krytycy..."

Następny dyskutant spytał Millera o europejskie inscenizacje jego sztuk. Dramaturg wyjaśnił, że niektóre z tych spektakli widział i uważa, że miały one charakter specyficzny, właściwy dla kręgu kulturalnego, w którym powstały. Tak na przykład „Widok z mostu" w rosyjskiej wersji — powiedział Miller — szczególnie uwypuklił realistyczny — wręcz fizyczny — aspekt sztuki. Francuska wersja „Po upadku" była natomiast koronkowa, romantyczna i naładowana feminizmem. Ta wielorakość interpretacji — podkreślił Miller — bardzo mu się podoba.

W nabitej sali warszawskiego Uniwersytetu, na spotkanie, o którym piszemy, przyszli profesorowie i studenci. Przedtem pisarz spotkał się z polskimi literatami i filmowcami, a także ze środowiskiem teatralnym przy okazji obejrzenia próby swej sztuki „Po upadku", jednej z trzech — obok wspomnianego już „Widoku z mostu" i „Wszystkich jego synów" — granych aktualnie w Warszawie. Oto prawdziwa popularność.

Kim był Malcolm X?

Kiedyś nazywano go w zaułkach Harlemu „Małym Malcolmem" lub „Wielkim Rudzielcem". Palił wtedy marihuanę, zażywał kokainę. Stąd powędrował w 1946 roku do więzienia.

Wyszedł z więzienia po siedmiu latach. Był wtedy już Malcolmem X, ascetą i fanatykiem z sekty Czarnych Muzułmanów.

„Chrześcijaństwo zaprowadziło mnie do więzienia. Islam wywiódł mnie stamtąd" — mówił Malcolm X. Nigdy zresztą nie ukrywał swej kryminalnej przeszłości. „Wszystko zło zdarzyło się ze mną w czasach, gdy byłem jeszcze częścią świata białych ludzi".

Malcolm urodził się w 1925 roku, ojciec jego był murzyńskim duchownym. Matka przekazała mu po dziadku rude włosy i niezbyt ciemną karnację. Nazywał to dziedzictwem po „białym diable".

Pierwsze wspomnienie Malcolma z dzieciństwa, to scena pożaru: płonie jego dom rodzinny podpalony przez białych rasistów. Wkrótce potem ginie — zamordowany przez białych — jego ojciec. Na naukę w szkołach, i tak degradowanych podziałem rasowym, brak pieniędzy. Malcolm dojdzie tylko do ósmej klasy. W Bostonie, a potem w New Yorku wchodzi w świat przestępczy: narkotyki, podejrzane przyjaźnie i jednoznaczne interesy z prostytutkami, zakazane gry hazardowe. W tym czasie Malcolm nie rozstaje się z pistoletem. Wydaje dziennie na kokainę 20 dolarów. Policja zna go coraz lepiej — aż wreszcie dysponuje pełnymi dowodami winy. Wyrok: siedem lat w najcięższym więzieniu w Charlestown. Tam, w celi, coraz dłuższe listy od sióstr i braci. Piszą oni o „nowej" religii o Czarnym Islamie, głoszonym wśród amerykańskich Murzynów przez Elijaha Mouhameda. „Nowa" religia, niewiele zresztą mająca wspólnego z Islamem, to zlepek fanatycznych dogmatów, nienawiści i wiary w wyższość czarnej rasy. To wiara, że czarny człowiek, Adam, był pierwszym człowiekiem na ziemi, a biali przyszli później. I wkrótce będą tylko sługami i niewolnikami.

Po wyjściu z więzienia Malcolm X, wolny już od dawnych, wyniesionych ze slumsów nałogów, staje się apostołem „nowej wiary", coraz aktywniejszym jej działaczem. Wyżywa się, chcąc nienawiścią płacić za upokorzenia i krzywdy całej murzyńskiej społeczności.

◎ Gdy ginie prezydent Kennedy, Malcolm X publicznie wyraża radość — „Spełniła się wola Najwyższego, niech będzie mu chwała!"

◎ Gdy w ubiegłym roku zginęło 120 osób w katastrofie samolotowej w pobliżu Nowego Jorku Malcolm X, wołał: „Módlmy się, by codziennie ginęło w katastrofach 120 białych. Niech będą dzięki Allachowi i Jehowie.

◎ Gdy dochodzi w Harlemie do burzliwych zajść na tle rasowym Malcolm X woła: „Niech każdy czarny wie, jak użyć pistoletu i noża. Dopiero krew dziesięciu białych zmyje z Murzyna piętno niewolnictwa".

Tak oto Malcolm X. w swym fanatyzmie wchodzi na manowce czarnego faszyzmu. Odcięli się od niego działacze murzyńscy, walczący o równouprawnienie. Nazwano go Czarnym SS-owcem. Coraz wyraźniej wychodzi na czoło w ruchu Czarnych Muzułmanów. Ma wybitny talent organizacyjny, jest świetnym mówcą. Dla swej na wpół tajnej organizacji liczącej ponoć milion członków, pisze hymn — „A white man's haewen is a black man's hell". — „Niebo białego jest piekłem Murzyna". Właśnie ta pieśń najwyraźniej wskazuje na źródła nienawiści rasowej, mówi o latach niewolnictwa, o poniżeniach i gwałtach.

Ale oto w ubiegłym roku i wewnątrz ruchu Czarnych Muzułmanów występują objawy rozłamu. Malcolm X zdaje się wycofywać na bardziej umiarkowane platformy, szuka ponoć kontaktów z doktorem Kingiem. W wywiadzie prasowym mówi wyraźnie o tym, że grozi mu śmierć, że boi się zamachu. Wkrótce potem ginie od kuli współwyznawcy.

Na wieść o morderstwie stary Elijah uda obojętność: „Malcolma zabiły jego własne kazania..."

Bojownicy o integrację rasową określają zamach, jako prowokację zmierzającą do rozbicia jedności murzyńskiej. A znany pisarz murzyński, James Baldwin, przyjaciel Malcolma X i człowiek o podobnej biografii — pisze, że zginął prawdziwy bohater, a za jego śmierć winę ponoszą biali, bez względu na to, kto pociągnął za cyngiel. Bowiem — jak twierdzi Baldwin — ten, kto zabił Malcolma X, wywodzi się ze świata zachodniego, z Ameryki, zrodzonej po gwałcie, jaki przed stuleciami Czarnej Afryce zadała Biała Europa.

MAX FRISCH

Przekład; Jacek Fruhling

„Powiedzmy: GANTENBEIN"

Bohaterem głośnej w świecie powieści Maxa Frischa pt. „Powiedzmy: Gantenbein" jest człowiek, udający niewidomego. Powieść ta, której fragment drukujemy poniżej, ukaże się w tłumaczeniu Jacka Frühlinga w tym roku.

Mężczyzna, który cierpi z powodu kobiety, jest sam sobie winien... Co czyni mężczyzn niewolnikami: ich pogarda w stosunku do kobiety, do której się nie przyznają; muszą ją więc gloryfikować i udają ślepych; kiedy ich rzeczywistość pouczy, biegną do następnej jak gdyby ta następna znów nie była kobietą; nie są w stanie oderwać się od swego marzenia... Pogardzają ich biernością, ich kokieterią jeszcze i tam, gdzie chodzi o zupełnie inne sprawy, nieodmiennością pozycji kobiet, wszystkie inne zainteresowania obnażają się jako preteksty, maskowania się, interludia, pogardzają poza tym ich nienasyconą potrzebą miłości, lub przyzwyczajaniem się do tego, że się je obsługuje (zapałki), że mają zawsze pierwszeństwo, jeżeli chodzi o rozczarowanie, w ogóle ich pociągiem do zarzutu, ich umiejętnością milczenia, chcą i potrafią pozostawać nieprzeniknionymi, gardzi się ich kunsztem tolerowania, znoszenia, ich fortelem, polegającym na tym, że są zawsze ofiarami, ponadto ich przerażającym kunsztem pocieszania się w każdej chwili, ich napadami flirtu nawet, kiedy są szczęśliwe, ich gotowością i przebiegłością zarazem, polegającą na tym, że to co się stanie, pozostawiają mężczyźnie, a kiedy mężczyzna, aby działać, chciałby wiedzieć, jaka jest jego rola, pozostawiają mu decyzję a przez to z góry przesądzają jego winę, ich obraźliwością w ogóle, ich potrzebą opieki i bezpieczeństwa, a przy tym ich upiorną chwiejnością, krótko mówiąc: ich czarem... Mężczyzna zachowuje się tym bardziej po rycersku, im więcej ma do ukrywania pogardy... Różnica biologizmu: kobieta może obcować w ciągu jednej nocy z dziesięcioma mężczyznami, mężczyzna nie dokona tego z dziesięcioma kobietami; on musi odczuwać żądzę, ona może tego dokonać bez żądzy; dlatego możliwa jest kurwa, niemożliwe jest jej męskie przeciwieństwo. Kobieta zmuszona próżnością męską do komediantctwa, odgrywa swoje rozpływanie się w rozkoszy, nawet jeśli nie ma, mężczyzna nigdy nie jest pewny, co u kobiety zaszło; to on wydaje się na łup, nie kobieta i to czyni go podejrzliwym... Kobieta jest człowiekiem; zanim się ją kocha, czasami również potem; z chwilą, kiedy się ją kocha, staje się cudem, a więc czymś, co się nie może ostać.

* * *

A więc starzenie się!

Enderlin nie pił. Już nie znosi alkoholu. Pewne ograniczenie następuje bez zlecenia lekarza, żeby tak powiedzieć dobrowolnie; nie opłaca się być następnego ranka wykończonym. Tak daleko już zaszedł. Jeszcze, żeby tak rzec, czuje się młodym. Musi się tylko oszczędzać. Pochlebia mu, kiedy go oceniają na młodszego niż jest. Tak daleko już zaszedł. Kiedy kocha ofiarowuje biżuterię. Dawniej nie wpadłby na to. Kiedy u jubilera podnosi wzrok ponad pierścieni i pereł, ogarnia go przerażenie: biżuterię ofiarowują sami starsi panowie. W tramwaju nikt jeszcze nie wstaje, by mógł usiąść. I to z czasem przyjdzie. Jeszcze nie może być o starości mowy. Ogarnia go tylko zdumienie, kiedy przypadkowo widzi wcześniejszą fotografię, twarz, której już nie ma. Jeszcze ciągle chodzi o zawody z młodszymi od siebie. Ale doszedł już do tego, że każdego ogląda z myślą, czy jest młodszy; kiedy mówi o starzeniu się, słusznie napotyka na przeczenia. Jeszcze, żeby tak powiedzieć, nie ma żadnych oznak zewnętrznych. A że rocznik, do którego należy, nie korzysta już w dziedzinie oczekiwań z zaliczek, nikomu nie wpada w oko, oczywiście z wyjątkiem niego. Obwisła skóra i zmarszczki pod oczami, kiedy przy goleniu siłą rzeczy musi spoglądać w lustro, wydają się tylko jeszcze oznakami przemijającego zmęczenia. Nie chce popadać z tego powodu w popłoch. Tylko zęby, które czasami wypadają mu we śnie, wiadomo, co to znaczy, przerażają go, podobnie jak oczy! białko ich staje się popielaste i żółtawe. Do tego już doszedł. Włosy nie wypadają, ale układają się bardziej płasko, natomiast rośnie czoło; jeszcze nie musi się tego nazywać łysiną. Ale to przyjdzie. Wargi staną się węższe, żeby tak powiedzieć bardziej wyraziste, ale bezbarwne. Buzzi ma rację, spełnienie jeszcze nastąpi. Kobiety ofiarowują mu się, jak nigdy dotąd. Włosy na piersi stają się srebrzyste, ale widać to tylko w kąpieli. Dieta i odrobina sportu, uprawiane w miarę i z energią nie dopuszczają do tworzenia się gąbczastego tłuszczu; nie wpływa to jednak na odmładzanie muskułów. Choć jeszcze bez trudu, ale widać po jego cieniu, że to człowiek pod pięćdziesiątkę; chód jego staje się oszczędniejszy, ruchy już nie przechodzą przez całe ciało. Twarz staje się żywsza, niż ciało, z roku na rok bardziej osobista żeby tak powiedzieć znacząca, kiedy nie jest zmęczona, a zmęczona bywa często. Kiedy bywa zmęczona ukrywa to w miarę sił, w razie potrzeby przy pomocy pigułek. Jeszcze nie musi kłaść się po obiedzie. Ale wszystko to przyjdzie. Jeszcze pracuje pełną parą. Owszem. Nawet daje ze siebie więcej, niż dawniej, ponieważ dzięki doświadczeniu łatwiej mu orientować się, co się udać nie może, pod względem zawodowym przychodzi okres najlepszy. To niewątpliwe. I przyjdzie to, czego się lęka: będą go traktowali z respektem. Z respektem dla jego wieku. Pozwolą mu mówić, ponieważ jest starszy, nie pomoże tu żadne koleżeństwo, żaden flirt z młodymi. Staną się coraz młodsi. Będą słuchali z grzeczności, będą rzadziej mówili, co myślą. Wszystko to przyjdzie. Będzie o nich zabiegał, wzdragając się rów nocześnie, kiedy mu któryś z nich zechce pomóc przy wkładaniu płaszcza. Będzie się go uważało za wzruszającego, ale za nieco uciążliwego, nie zauważy tego. Będzie podziwiał, aby nie uchodzić za zawistnika; będzie zazdrosny o wszystko, co mu się już nie będzie wydawało warte zachodu. Wszystko to przyjdzie. Przyzwyczajony do naturalnego przyrostu wypadków śmiertelnych w jego roczniku, przywykły do honorów, okazywanych jego przeszłości, jako sześćdziesięciolatek, którego się zaczyna zapewniać o jego duchowej świeżości i to coraz szczerzej, nie będzie się użalał na swój wiek, przeciwnie, zrobi z tego wieku coś dostojnego, będzie dotknięty, że dostojeństwo to nie wydaje się wcale śmieszne, lecz wręcz stosowne. To wszystko jest nie do powstrzymania. Może dzięki środkom medycyny współczesnej dożyje siedemdziesiątki. Jeszcze nie doszedł do tego, żeby go na każdym kroku pilnować i pielęgnować. Oczywiście potrzebna mu jest pomoc. Oczywiście musi się oszczędzać. Po co, dlaczego? Pamięć jego, choć już nie wystarczająca dla nauczenia się języka obcego, będzie zdumiewająca. Będzie sobie przypominał sprawy najodleglejsze, które go kiedyś zajmowały. Młodzi (czterdziestoletni) będą prowadzili ze sobą spory, podczas, gdy on będzie siedział jakby w rezerwacie. Poglądy jego są już nie do zmienienia. Codziennie będzie odbywał spacer, może o lasce, w każdym razie w kapeluszu, codziennie będzie czytał gazetę, aby nie spacerować po przeszłości. Teraźniejszość? Wie, jak do niej doszło. Czasami będzie opowiadał o spotkaniach osobistych z ludźmi, którzy tę teraźniejszość wywołali, o swojej epoce, która stała się historią, każdym razem to samo...

Dlaczego człowiek się nie powiesił?

JAN BOLESŁAW OŻÓG

barokowe miasteczko

Bar? Sokal? Czy złoty Krzemieniec?
Czerwona nad cerkwią śreżoga
i miesiąc jak srebrna ostroga
u progu wąż zgięty w półksiężyc.

Pop z diakiem, pijani oba,
ikonę czołami bodą,
za bramą zielony Żyd z brodą
i stragan ze zgniłą wątrobą.

W pośrodku majdanu
did ślepy na palu z lutenką,
i struna drga gruba i cienka.
Pieśń z Siczy? Czy takty padwana?

Nabity na palu w tłum patrzy.
Krew czarną wytrząsa kat z knuta —
i siemię mu juchy spod buta
kruk z chama zdziobuje, pić raczy.

katedra w rouen

Na wieżach katedry sztandary.
Żółte jak siarka. Papieskie.
Jak z wiadra krowiej siary.
Wyżej drabiny niebieskie.

Z wiadrem żółtego mleczu,
chrzczonego krwią, jedną drabiną
chłop d'Arc do Boga się wspina
i krowę za sobą wlecze.

Na drugiej
święta Darczanka się kiwa,
a pod nią kobyla wciąż grzywa,
na piersi strzępy kolczugi.

Kruk suchy ze stosu na trzeciej.
Krew kapie mu z piórek po brzuchu,
i ziarna prosa i juchy
ze szponów zdziobuje, nim wzleci.

KAZIMIERZ BŁESZYNSKI

MÓJ PRZYJACIEL POLEK

Polek — to Ciągliński. A braci Ciąglińskich było ongi trzech czy nawet czterech — wszyscy z temperamentem i uzdolnieniami ponad przeciętną miarę; najwybitniejszy z nich był artystą — malarzem, profesorem Akademii Sztuk Pięknych w tzw. wówczas Petersburgu, dokąd uszedł z Warszawy przed prześladowaniami żandarmerii carskiej.

Uwagę władz rosyjskich Ciąglińscy, nie wiedzieć czemu, wcześnie na siebie zwrócili, ale że byli zgoła apolityczni i sumienie mieli czyste, a żarty lubili, postanowili spłatać żandarmom psikusa i do spodziewanej u siebie rewizji godnie się przygotowali.

I oto gdy wreszcie pewnej nocy istotnie zaroiło się u nich w mieszkaniu od policji z jej przyległościami, uwagę jej od razu zwróciła na siebie jakaś ogromna kula, chwiejąca się na sznurze pod wiszącą nad stołem lampą.

— A co to jest takiego? — pytają rewidenci.

— O, to — wiecie panowie — odpowiadają Ciąglińscy — tego lepiej nie ruszać...

— Czemu?...

Ciąglińscy milczą, jak gdyby niespokojni i zdetonowani.

Przeprowadzający tzw. wówczas „obysk", czyli rewizję, tym bardziej ciekawi są owej kuli; kto wie, może to bomba...

Działają więc ostrożnie: z odczepionej od sznurka rzekomej może bomby odwijają zrazu zwykły papier gazetowy — potem papier ołowiany, jak w paczkach od herbaty — następnie warstwę szmat — i znów papier... Aż wreszcie w samym środku wyłania się z owych obwolut co?... Artystycznie zrobiona z wosku ręka — albo właściwie tylko dłoń, lecz dłoń z palcami złożonymi w figę!

Tableau i oczywiście smutne konsekwencje, jako, że się żandarmi na żartach nie znali.

* * *

Albo taka o Polku — a przy sposobności i o mnie opowiastka.

Mówią, że znane rosyjskie powiedzonko „krugom durak" nie da się ściśle na polski przetłumaczyć dlatego, że u nas w Polsce, aż takich durniów nie ma. Ale to nieprawda — są i jeszcze jacy!...

W gimnazjum, gdzie mnie kształcono — lub raczej usiłowano bez skutku zniekształcić — mieliśmy takiego właśnie extra — głupka, nauczyciela języków starożytnych. Polek powiadał o nim, że zły los mu przewiesił głowę i sempiternę.

Czytamy kiedyś Wergilego i w „Aeneidzie" znajdujemy imię jakiejś zupełnie pod rzędnej postaci. Mrugamy na siebie z Polkiem i ja zaczynam.

— A kto, panie profesorze — pytam — był ojcem tego kogoś (już dziś nie pamiętam kogo)?

— Ojcem?... Jego ojcem?... — odpowiada kandydat na „okrągłego durnia". — Dalibóg zapomniałem... Ale może znajdę.

Wydobywa z teki jakąś grubą księgę i zaczyna szukać.

— Jest oznajmia z triumfem. — Ojcem jego był taki a taki.

— Najuprzejmiej dziękuję panu profesorowi.

Siadam.

Ale natychmiast podnosi się Polek.

— A, panie profesorze — pyta — kto był jego matką?

— Matką?... Matką?... Doprawdy...

I głupek znów szuka, przewracając kartki.

— Nie, o matce — mówi — nie mogę panom niestety dać żadnych informacji.

— To i o dziadku pewnie też nie? — pytam znów ja z kolei.

— A może pan profesor wie coś o jego ciotce? — niewinnie zapytuje Polek.

Tutaj w klasie napięcie i ciche chichoty.

— O ciotce?... O ciotce?... — orientuje się wreszcie „okrągły" profesor. — Co ma do „Aeneidy" ciotka?...

Klasa wybucha długo hamowanym śmiechem.

Powiedzonko „Co ma do Aeneidy ciotka" weszło odtąd na stałe do repertuaru naszych porzekadeł w rodzaju: „Podobny jak kleszcz do logarytmu" — „Dowcipny jak rozwolnienie" — „Smaczne jak pasztet z g...awronem" itp.

Z przygotowywanej do druku książki pt. „Wstecz i w głąb. Spojrzenia".

TADEUSZ GIGGIER

FILOZOF W PRZEBRANIU KOMINIARZA

W rozmowie przed mikrofonem, która poprzedziła ukazanie się książki „O szkodliwości kominów", autor jej, Zygmunt Fijas, nazwał się „kominiarzem sarkającym na nadmiar sadzy w Polsce".

Dowcipne to, ale i zobowiązujące stwierdzenie. Czy nowa książka autora „Portretu z sera" uprawnia go do tego żartobliwego, ale przecież dumnego epitetu? Na pewno tak, jeśli weźmiemy pod uwagę treści wielu jego felietonów i humoresek, zaczerpnięte, jak to się zwykło mówić, z życia, ośmieszające rozliczne paradoksy naszej współczesności. Problem uznać trzeba natomiast za otwarty, gdy przyjrzymy się sposobowi, jakim autor te paradoksy ośmiesza. Jest to bowiem sposób nie satyryka, a — humorysty. Patronuje Fijasowi nie Gogol czy Szczedrin, ale — Rabelais ze swym niewyczerpanym humorem, jędrnym, dosadnym stylem i nieokiełznaną wyobraźnią. Patronuje — dodajmy przy tym — nader szczęśliwie, dzięki czemu autor „O szkodliwości kominów" jest nie tylko humorysta, lecz — humorysta wybornym, jednym z nielicznych w gronie rodzimych prześmiewców.

Twórczość Zygmunta Fijasa to zjawisko w naszej współczesnej literaturze wyjątkowe. Nie mieści się ona w żadnej „ogólnie przyjętej" satyrycznej konwencji, nie pod chodzi pod żaden strychulec. Jest przy tym rdzennie polska. Wymieniając mistrza Rabelais, miałem bardziej na myśli rodzaj fijasowskich humoresek, niż ich rodowód. Bo po cóż szukać tak daleko? Wystarczy przypomnieć facecje polskie z XVII i XVIII wieku.

Zdumiewa mnie u Fijasa bogactwo form: od „udowcipnionych" notatek prasowych („Piąte przez dziesiąte"), poprzez felietony i humoreski, satyryczne opowiadania („Wyświęcenie Putyfary z Kocmerzowa"), aż do prób dramatyczno - parodystycznych w rodzaju „Kulki z papieru". To najlepsza zresztą parodia, inne są mniej udane i to chyba nie jest genré Fijasa.

Podziw budzi wielostronna wiedza autora „O szkodliwości kominów". Zwierzył on mi się kiedyś pół żartem, pół serio, że rozczytuje się w książkach kucharskich i księgach magicznych. Nie wspomniał nic o księgach specjalistycznych, a przecież musiał studiować i fizykę, i chemię, i filozofię, i astronomię, nie mówiąc już o podręcznikach zielarskich i poradnikach kosmetycznych. Zebrany dzięki tym studiom materiał językowy kipi w utworach Fijasa swym nadmiarem i rozsadza często te utwory, podobnie jak bujne kształty Zofii Barłożek, opisanej przezeń „sławy świata podwodnego", rozsadzały jej „szczupły kostiumik z płótna żaglowego". Zresztą wybrany temat jest dla tego autora zwykle tylko pretekstem do słownej ekwilibrystyki, a znajdująca się u punktu wyjścia „życiowa sytuacja" zostaje z reguły doprowadzona do absurdu.

Ulubionym chwytem satyrycznym Fijasa jest nagromadzenie. Humorysta wymienia jednym tchem nazwiska, kolizacje, konfiguracje — nic więc dziwnego, że czasem mu już tego tchu brakuje. Dotyczy to zwłaszcza pointy. Nie znaczy to jednak, że w książce nie ma humoresek zwartych, celnych tak w pomyśle, jak i w spointowaniu, że wymienię tu tylko świetnego „Człowieka w pelerynie".

Zresztą autor „O szkodliwości kominów" to przede wszystkim felietonista, a felieton rządzi się odmiennymi niż humoreska prawami. Nawet „Zmotoryzowany żebrak" czy „Podłoga z uniwersyteckim wykształceniem", na pozór humoreski, to przecież w istocie nic innego jak sfabularyzowane felietony. A takie utwory jak „Uczmy się jeść nowocześnie", czy „Jak przepowiadać pogodę"? To już felietony w czystym tego słowa znaczeniu, felietony wyprowadzone z anomaliów naszego „powszedniego dnia", iskrzące się dowcipem i atakujące odważnie owe anomalia. Dziwi mnie, że żadne z pism łódzkich nie spostrzegło tej rzadkiej właściwości, jaką odznacza się pióro Zygmunta Fijasa, i nie wykorzystało jej dla ożywienia swoich łamów.

Wspomniałem o „powszednim dniu". Fijas jest tyle satyrykiem, co — poetą codzienności. Dowodzą tego drukowane w pismach literackich jego szkice „Z notatnika prowincjusza". Dowodzi tego jeden z najlepszych utworów, zamieszczonych w omawianej książce — „Milionerzy". Humoreska zbudowana na realiach tak prostych, że aż żałosnych, mówiąca o małżeństwie emerytów, które robi odkrycie, że „oboje razem są warci okrągłutki milion dolarów". Tyle bowiem — według statystyk amerykańskich — kosztować będzie w przyszłej wojnie śmierć dwojga ludzi...

Nie jedyny to utwór w książce o zdecydowanej społeczno - politycznej wymowie. Należy do nich również „Pluskwa" gdzie autor, opisując świat insektów, dochodzi do wielkiej społecznej metafory: należy „Humoreska kryminalna" i „Nie da się żyć z tym baranem Szybała" — rzecz o sitwie kombinatorów,

donosicieli i podszczuwaczy, którzy sposobią dla niewygodnego zwierzchnika dintojrę.

A miłościwie nam panujące obyczaje? Wiąże się z nimi „Posąg", humoreska traktująca o młodej parze i jej nowoczesnym stosunku do życia; „Cudzoziemka" i „Kartka z księgi snobów", ukazująca współczesną, aktywną odmianę snoba skrzyżowanego z cwaniakiem i kanciarzem. Do tej kategorii humoresek zaliczyć wypada również „Krzysztofa Kolumba z Niezgut" i „Ona na niego kamieniem", humoreski o czczym i jałowym gadulstwie.

Fijas podpatruje codzienność, ale przy tym rozmyśla, wyciąga wnioski. „Lubię rozmawiać z przeciwnikami współczesności" — stwierdza w humoresce tytułowej. Buntuje się wraz z nimi przeciw postępującej mechanizacji świata i — ludzi, wyczuwając intuicyjnie, że to „do niczego dobrego nie prowadzi". Wstępuje przeto na kazalnicę w szacie komika i wygłasza „kazania na niedziele i święta", zalecając pić kawę tylko w domu, a na wczasy nie zabierać „nic więcej niż trzy koszule, dwie pary spodni i zapasową szczoteczkę do zębów". Z kazań tych przebija ton pogody, ton afirmacji życia w jego rozlicznych, często rubasznych czy nawet groteskowych przejawach, a wszystko to dlatego, że — jak mówi autor w jednym ze swych kazań — „widzę to, czego wy nigdy nie widzicie". Nie jest jednak egoista, pragnie zdjąć bielmo, które wielu z nas nosi „na oczach swej duszy".

Zygmunt Fijas — „O szkodliwości kominów" — obwolutę i stronę tytułową projektował Stanisław Ibis-Gratkowski — Wydawnictwo Łódzkie 1964 r., s. 264, cena 15 zł.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

GDY ŁÓDŹ BYŁA MIEJSCEM POSTOJU

Był to bardzo szczęśliwy pomysł „Wydawnictwa Łódzkiego": odtworzyć, ożywić i utrwalić w drukowanym słowie obraz Łodzi z tych miesięcy i lat pierwszego okresu powojennego, gdy była ona „punktem tranzytowym" i „miejscem postoju" dla wielkiej plejady naukowców, artystów i w ogóle intelektualistów wszelkiej kategorii, poszukujących, po latach burzliwej i dramatycznej tułaczki, choćby chwilowej, lecz spokojnej przystani. Warszawa, jak wiemy, była podówczas gigantycznym stosem zgliszcz i rumowisk, Kraków był — mimo swych czcigodnych tradycji — zbyt małym i zbyt partykularnym ośrodkiem, aby mógł pomieścić w swych murach napływających zewsząd reprezentantów świata nauki, kultury i sztuki i zapewnić im choćby najskromniejsze warunki egzystencji. Z historycznej konieczności i niespodziewanie dla siebie samej Łódź awansowała na czas pewien do rangi kulturalnej stolicy Polski — i ta zaszczytna, choć krótkotrwała i niepowtarzalna rola naszego miasta nie powinna pójść w zapomnienie.

Szczęśliwy więc był, jak już powiedziałem, pomysł „Wydawnictwa Łódzkiego", aby drogą specjalnej publikacji *, uchronić od zapomnienia wszystko to, co z tamtej łódzkiej przeszłości na pamięć sobie zasłużyło.

Ale od zamierzenia do realizacji dystans jest zazwyczaj znacznie dłuższy niż przysłowiowy — w niektórych tylko przypadkach prawdziwy — „jeden krok". Więc też zdarza się nieraz, że doskonały pomysł traci w wykonaniu niejedną cechę swej doskonałości. Nie wiem, jakimi kryteriami kierowali się Wydawcy tomu „Tranzytem przez Łódź" przy selekcji zebranego do tej książki materiału. Nie wiem też, jaka była koncepcja jej całości, i czy ta koncepcja znalazła pokrycie w urzeczywistnieniu. Wydaje mi się jednak, że zawartość książki, o której tu mowa, nosi dość wyraźne piętno przypadkowości, a więc braku wewnętrznej koordynacji i zestrojenia.

Nie chodzi mi o „luki tematyczne", do których — w imieniu Wydawców — przyznaje się lojalnie Tadeusz Chróścielewski w swojej obszernej wypowiedzi wstępnej. W publikacji, która nie jest przecież wielotomową encyklopedią, bez takich luk nigdy się nie obejdzie. Rzecz — moim zdaniem — polega na czym innym, na tym mianowicie, że choć niemal wszystkie poszczególne pozycje tomu mają swe poważne zalety i wartości, suma tych pozycji nie tworzy jednak obrazu, którego barwy, linie i proporcje układałyby się w harmonijny kształt całościowy. Oczywiście, winą za te trochę disiecta membra nie wolno obarczać wyłącznie Wydawców książki. Odegrały tu z pewnością swoją rolę różne inne — niezależne od nich — czynniki i przyczyny, których na tym miejscu doszukiwać się i omawiać nie zamierzam. I jeszcze jedna uwaga: sądzę, że tytuł książki niezbyt ściśle odpowiada treści, skoro niemal dla połowy jej współautorów Łódź nie była tylko „punktem tranzytowym" lecz stała się niemal miastem rodzinnym, w którym do dziś mieszkają i pracują.

Pozrzędziwszy trochę, co — jak powszechnie wiadomo — jest zwyczajem (i przywilejem) recenzentów, wyrażam jednak zgodę na końcową konkluzję wspomnianej już wypowiedzi Chróścielewskiego, że mianowicie — mimo wszelkich luk i niedostatków — „Tranzytem przez Łódź" spełnia swe podstawowe zadanie — powtarza przed oczyma pamięci niepowtarzalne, tym zaś, którym niczego nie powtórzy, gdyż ich jeszcze w świecie ludzi dostatecznie dorosłych nie było, pozwoli przeżyć nieprzeżyte".

Jedenaście wypowiedzi, wspomnień i szkiców, zawartych w „Tranzycie" można podzielić z grubsza — pod względem tematyki — na trzy części: naukową, literacką i teatralną. W części pierwszej prof. Józef Chałasiński przedstawia obszernie udokumentowane dzieje powstania pierwszej w naszym mieście państwowej wyższej uczelni — Uniwersytetu Łódzkiego, którego był on bardzo aktywnym współorganizatorem, przy czym — co jest rzeczą zrozumiałą — dużo miejsca zajmują tu sprawy związane z rozwojem i osiągnięciami nauk socjologicznych w ramach ogólnej działalności tego Uniwersytetu. Prof. Adam Schaff podaje sporo ciekawych informacji o początkach istnienia Centralnej Szkoły Partyjnej w Łodzi, o kreowaniu na UŁ pierwszej w Polsce katedry marksizmu i o periodyku „Myśl Współczesna", reprezentującym poglądy i opinie lewicowych łódzkich naukowców. Dr med. Roman Fenigsen, odbiegając trochę od tematycznego pionu książki, pisze o pionierskiej roli lekarzy łódzkich różnych generacji, o społecznych aspektach łódzkiego lecznictwa, wreszcie — o współczesnych problemach sztuki lekarskiej i perspektywach jej rozwoju w przyszłości.

W części, którą nazwałem literacką, oprócz szkicu Chróścielewskiego, w którym autor interesująco powiązał przeżycia osobiste z szerszym tłem spraw i zjawisk łódzkich z miesięcy i lat „nasyconych historią", znajdujemy również kilka innych pozycji. A więc z werwą napisaną niby-monografię głośnego ongi tygodnika „Wieś" pióra Wiesława Jażdżyńskiego; Jana Koprowskiego wspomnienia o wstąpieniu w poczet literatów łódzkich i o wieloletniej pracy — na stanowisku kierownika literackiego — w Teatrze Nowym; bardzo ładne, liryczne wspomnienie o Łodzi — Adolfa Rudnickiego, który jest bodajże jedynym spośród „tranzytowców" — warszawiaków, zachowującym do dziś ciepły sentyment dla naszego miasta. Wspomnienia Wiktora Woroszylskiego i Tadeusza Drewnowskiego którzy przybyli do Łodzi w 1945 r. w wieku bardzo młodzieńczym, wiążą się z początkiem ich studiów na UŁ, z pierwszymi próbami literackimi, z procesem intelektualnego i światopoglądowego dojrzewania; ciekawe są tu pewne szczegóły o ówczesnych — wcale nie jednoznacznych politycznie — nastrojach i tendencjach na UŁ, kiedy to tezy jednego wykładu kłóciły się nieraz wyraźnie z tezami drugiego.

Dział teatralny w „Tranzycie" reprezentują Stanisława Mrozińska i Irena Bołtuć-Staszewska. Pierwsza z nich opowiada bardzo ciekawie o początkach odrodzonego życia teatralnego w wyzwolonej Łodzi, słusznie eksponując doniosłą w tym względzie rolę Teatru Wojska Polskiego, druga zajmuje się głównie wielostronną analizą ważniejszych spektakli w pierwszych latach powojennej działalności teatrów łódzkich, uwzględniając przede wszystkim pamiętne inscenizacje schillerowskie.

Oto w bardzo sumarycznym skrócie przegląd treści zamieszczonych w „Tranzycie" pozycji, coś w rodzaju „spisu rzeczy" z pominięciem ich streszczenia i dokładniejszej oceny, co nie wydaje się w danym razie konieczne.

Zamykając to omówienie, szczerze i rzetelnie mogę oświadczyć, że „Tranzytem przez Łódź" mimo pewnych zastrzeżeń krytycznych, jakie budzić może — jest książką niewątpliwie potrzebną, której należy się, zwłaszcza ze strony łodzian żywe zainteresowanie.

---

*) **„Tranzytem przez Łódź", Wydawnictwo Łódzkie, 1964, str. 370 i 2 nl. Cena 30 zł.**

PÓŁKA z książkami

„DZIEŃ BOHATERA"

Z problemem bohaterstwa, tego przez duże „B" i tego przez małe „b" zapoznaje nas tomik opowiadań Jana Józefa Szczepańskiego „Dzień bohatera". Autor zajmuje się przeważnie odwrotną stroną medalu — bohaterstwem na co dzień, przy czym rzeczownik ten należy traktować niezbyt dosłownie.

Nie bez kozery przedstawił nam autor jako utwór tytułowy opowiadanie będące pozahistoryczną fantazją literacką. Oderwanie od współczesnej rzeczywistości ułatwia czytelnikowi spojrzenie na rysowany problem z dystansu realności. Ułatwia obiektywną ocenę, a choć niekiedy wywoła przy tym uśmiech, nie szkodzi. Tym lepiej dla odbiorcy!

Opowiadanie to poza zadaniem naczelnym, tzn. zarysowaniem problemu, pełni jeszcze funkcję uboczną: przygotowuje czytelnika do dalszej lektury, choć dość brutalny może się wydać przeskok od prawie baśniowej atmosfery poczynań Alkinoja do twardej, okupacyjnej rzeczywistości. Uderzający jest fakt, że postacie rysowane przez Szczepańskiego obracają się zawsze wokół jednej osi — przemocy fizycznej, walki, wojny! I choć walczą, świadomie czy nieświadomie, zawsze jest to tylko odruch przeciw gwałtowi. Bohaterstwo jako takie jest tu tylko przydatkiem dodawanym przez otoczenie. Zasłużonym czy nie, to już zupełnie inna sprawa.

Postawienie sprawy, przyznajmy, dość jednostronne, ale walka zawsze była dla ludzkości sprawą najbardziej interesującą i wygrywanie jej na podłożu dydaktycznym stanowi dla literatury przyczynek niezmiernie interesujący. Przyczynek napisany bardzo ciekawie i sprawiający, że każdy przeczyta książkę z zadowoleniem.

L. ST. R.

Jan Józef Szczepański — „Dzień bohatera", opowiadania — Czytelnik, Warszawa, 1964, wyd. II. — str. 174, cena 10 zł.

„MATCZYNE POLE"

Od kilku lat obserwujemy w literaturze radzieckiej znamienne przemiany. Wielu pisarzy wraca po latach do tematyki wojennej i do tematów osnutych na tle życia ludzi radzieckich po Rewolucji.

Książki Ajmatowa nie można by zaliczyć do tzw. literatury rozrachunkowej. Ale odbiega ona tak dalece od przyjętych niegdyś schematów, że jest w jakimś sensie rewelacyjna. Atrakcyjność lektury jest tym większa, że Czingis Ajmatow — młody, bo urodzony w 1928 roku pisarz, jest Kirgizem i laureatem nagrody im. Lenina. Kirgizja, to kraj dla nas zupełnie egzotyczny. Nie mamy pojęcia o obyczajach tego kraju, ani o skomplikowanych problemach moralnych — ludzi uwikłanych w tradycje, a jednocześnie budujących nowy ustrój.

„Matczyne pole", to rozrachunek moralny z wojną, która choć toczyła się daleko od ojczyzny pisarza, poczyniła także spustoszenia w jego kraju. Mąż starej kobiety — Tołgonaj i czterej jej synowie idą na wojnę, z której żaden nie wraca. Jej synowa Aliman ma dziecko z przygodnie spotkanym mężczyzną. Umiera jednak przy porodzie. Stara kobieta zostaje z wnukiem i prowadzi obłędne dialogi, pełne żalu z ziemią, którą ukochała.

„Pierwszy nauczyciel"; to opowieść o człowieku, który sam zaledwie „piśmienny", uczył dzieci kirgiskie pierwszych liter i nowego życia.

Akcja obu opowiadań toczy się na zupełnie egzotycznym dla czytelnika polskiego terenie, mówi o sprawach moralnych i obyczajach, o których nie mamy pojęcia. Czyta się tę książkę jednym tchem.

JHW

Czingis Ajmatow „Matczyne pole", Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa, 1964, str. 201, cena 10 zł.

PRZYGODA W CIENIU WULKANÓW

Pisarze angielscy, wierni synowie narodu, który w ostatnim dwudziestoleciu krok za krokiem wycofywał się z afrykańskich i azjatyckich zakątków legendarnego niegdyś imperium, cierpią najwyraźniej na szczególny kompleks: objawia się on w nostalgicznej tęsknocie za egzotyką i w antypatii do USA. Dobrze znanym przykładem takiego kompleksu jest twórczość Grahama Greene'a. Inny jego rodak, Norman Lewis, bardzo go przypomina stylem, sposobem obrazowania problemów politycznych i upodobaniem do typowo brytyjskiej, ironicznej autoanalizy.

„W cieniu wulkanów" to powieść o przygodach białego wykolejeńca, poszukiwacza przygód i profesjonalnego najemnika-oficera, uwikłanego w chaos kolejnego przewrotu w Guatemali. Bohater powieści jest jednak bardziej Anglikiem (oczywiście Anglikiem w wersji literackiej) niż typem białego najemnika znanego z wyczynów w Kongu. Bierny, flegmatyczny, chętnie filozofuje i z obrzydzeniem śledzi okrucieństwa, którymi amerykański trust toruje sobie drogę do wszechwładzy w pięknej, lecz posępnej ojczyźnie dawnych Mayów.

Papierowość tej postaci nie zdąży zresztą nas irytować: zbyt żywy jest nurt zdarzeń, zbyt barwny obraz kraju. Czytamy więc historię tych przygód jednym tchem. Co pozostaje po ukończonej lekturze? Wizja egzotycznego kraju, ciekawy, choć uproszczony wykład o roli Stanów Zjednoczonych w Południowej Ameryce, a także już nieco anachroniczna wizja „wielkiej przygody" kolonialnej.

SM

Norman Lewis „W cieniu wulkanów", PIW, str. 295, zł 17.

LECH PIJANOWSKI

ŚPIEW i ŻYCIE

W prywatnym życiu zjawiskiem raczej niedobrym wydaje się „izolacja zawodowa", nieustanne stykanie się tylko z ludźmi swego zawodu — niezależnie od tego, czy będą to lekarze, inżynierowie, czy krytycy filmowi. Najciekawsze, a w każdym razie najbardziej prowokujące do myślenia rozmowy o filmie zdarzają mi się często właśnie w towarzystwie „nie — zawodowców".

W ostatnim czasie przyjaciele i znajomi szczególnie „wykorzystywali" mnie jako, w ich mniemaniu, fachowca od spraw filmowych, wypytując o różne filmy Festiwalu Festiwali Filmowych: o czym to jest? czy rzeczywiście tak świetne?

Jedno i to samo pytanie z różnych ust padło co najmniej kilkanaście razy: za co festiwalową nagrodę dostały „Parasolki z Cherbourga" francuskiego reżysera Jacquesa Demy?

Podłożem tego pytania nie była niekomunikatywność filmu (wybitny, ale tak zawiły, że aby go zgłębić trzeba i

FILM

trochę specjalistycznej wiedzy, i wiele uporu i cierpliwości). Przeciwnie, opowieść zaprezentowana w „Parasolkach" jest prościutka; źródłem pytań była zwykła wątpliwość: film dość nijaki, właściwie za co nagroda?

Odpowiadałem z reguły, że niepodobna na takie pytanie odpowiedzieć krótko i od razu, jest ono bowiem sformułowane może i nie fałszywie, ale niejako obok prawdy. Jest tylko połową pytania, na które trzeba odpowiedzieć. Druga, ta nie formułowana na ogół połowa brzmieć by mogła: na jakim tle „Parasolki" dostały nagrodę? Innymi słowy: z czym współzawodniczyły? co je wyróżnia spośród innych filmów?

I same w sobie niejako, i tym bardziej na tle innych filmów festiwalowych „Parasolki" to pozycja słaba, landrynkowata, melodramatyczna. W opowiastce o dziewczynie z dziecięciem, o jej ukochanym w wojsku i o bogatym, zakochanym bankierze nie znalazłem niczego wzruszającego ani prawdą, ani zmyśleniem. Banalną tę historię opowiedziano banalnie, choć trochę inwencji wykazał operator, autor miejscami atrakcyjnych barwnych zdjęć.

A jednak „Parasolki" są pod pewnym względem nowością, konsekwentną i całkowitą, której zasadę można sformułować bardzo krótko: wszyscy bohaterowie filmu zamiast mówić — śpiewają.

Można zapytać: i co z tego? Odpowiadam od razu: właśnie, nic z tego. Odśpiewywany w duetach i tercetach błahy dramacik nie przestał być banalny. Natomiast zgoda co do tego, że film stał się niezwykły — tego istotnie jeszcze nie było. „Parasolki" nie są bowiem klasyczną operą na ekranie, lecz potoczną opowieścią „z życia"; arie bohaterów filmu są jedynym ale za to wszechogarniającym zabiegiem konwencyjnym. Klient na stacji benzynowej śpiewając zamawia olej i benzynę, sprzedawczyni w sklepie stosowną arią chwali zalety parasolek; każde „dzień dobry" zostaje odśpiewane...

Zaskoczyło mnie w czasie projekcji, że film jednak można bez szczególnej niecierpliwości obejrzeć do końca. Umowność, nawet tak dziwaczna i wynaturzona, okazała się do przyjęcia: pośrednio można z tego wyprowadzić optymistyczny wniosek, jak wielkie i nie całkiem jeszcze spenetrowane są możliwości filmu w zakresie dających się zastosować konwencji.

Jest to wniosek ważny dość oderwany od poziomu i wymowy „Parasolek" jako całości — jednocześnie sądzę, że jest to chyba jedyna możliwa motywacja festiwalowej nagrody.

A więc „Parasolki" doczekały się międzynarodowych laurów ponieważ bohaterowie filmu nie mówią, lecz śpiewają, w innych zaś fil-

mach tego nie ma i nie bywało. Nie podzielilibym, szczerze mówiąc, zdania festiwalowych jurorów, w nagradzaniu za to właśnie, byłbym chyba ostrożniejszy — wyznaję jednak, że intencje nagrody rozumiem i (co dziwniejsze) nie wydają mi się one bez sensu.

Nieraz już tak bywało w dziejach filmu, że utwór, prezentujący coś zdecydowanie nowego pod jednym względem, pod wieloma innymi okazywał się utworem nieudanym, a jednak — i słusznie — wchodził do historii rozwoju filmu i jego form, bo w nim po raz pierwszy zastosowano na przykład zdeformowane dekoracje, dużą głębię ostrości, wirażowanie obrazu (pojęć takich można podać wiele).

Pouczające w tym względzie są starcia poglądów na temat, komu właściwie film — jeszcze niemy — zawdzięcza tak fundamentalny środek wyrazu, jak zbliżenie. Wielu historyków sztuki filmowej podaje jako pioniera nazwisko Griffitha; obec-

ność skutecznych, wyrazistych zbliżeń w jego filmach można do dziś sprawdzić na ekranie... Ale w filmach jeszcze wcześniejszych, na przykład angielskich, są również zbliżenia — tyle, że nieśmiałe, mniej wyraziste, niefunkcjonalne... Któż więc jest pionierem?

Myślę, że i ten, kto pierwszy wymyślił, i ten, kto pierwszy skutecznie zastosował. Czasem zdarza się to łącznie, częściej — oddzielnie.

Jeśli powstanie za rok lub pięć lat rzeczywiście dobry film, którego bohaterowie zamiast mówić będą śpiewali. Jacques Demy ze swymi „Parasolkami" stanie się pionierem. Zanim to (czy kiedykolwiek?) nastąpi, „Parasolki" będą tylko nieco paradoksalnym eksperymentem formalno-wyrazowym.

Bowiem w kinie zostać dziś pionierem nie jest łatwo; patentu na to nie daje żadna festiwalowa nagroda.

Na zdjęciu: Marian Gamski i Barbara Połomska

WŁADYSŁAW DRŁOWSKI

czy propozycje?

Teatr Powszechny wystąpił ostatnio na Scenie Propozycji z nową premierą. Złożyły się na nią dwie jednoaktówki: Ernesta Sfriso „Zabawa ze sznurkiem" i Maxa Frischa „Szewska pasja Filipa Hotza".

Scena Propozycji jest najmłodszą placówką teatralną w Łodzi, obliczoną na wypełnienie pewnej luki w repertuarze teatrów łódzkich. Wszystkie bowiem sceny łódzkie (włącznie nawet z Małą Salą Teatru Nowego) nastawione są na repertuar stosunkowo nietrudny, dostępny dla najszerszych rzesz widzów.

Można oczywiście dyskutować nad tym, czy polityka poszczególnych dyrektorów nie jest w tym względzie zbyt asekuracyjna, czy nie występują w niej tendencje niedoceniania zdolności percepcyjnych łódzkiej publiczności. Ale faktem jest, że przez szereg lat w 700-tysięcznym mieście nie oglądaliśmy w ogóle sztuk awangardowych i trudniejszych, które w tym czasie wystawiano nie tylko w Warszawie, ale w Krakowie, w Gdańsku, Zielonej Górze czy Poznaniu. W ten sposób zwłaszcza młode pokolenie widzów łódzkich dotkliwie odczuwało brak kontaktu z takimi autorami jak: Ionesco, Pinter, Albee, Osborne, Sartre, Różewicz, Grochowiak, Drozdowski... Listę tę (zestawioną bardzo przypadkowo bez zachowania jakichś specjalnych kryteriów wyboru) mógłbym oczywiście ciągnąć dalej.

Ostatnio sytuacja uległa zmianie na lepsze. Wreszcie zatriumfowała racjonalna myśl, że przecież są do pomyślenia premiery adresowane niekoniecznie do całej potencjalnej widowni łódzkiej, a tylko do jej części. Tej części zainteresowanej bardziej nowoczesnym modelem teatru. W prezentacji tego typu repertuaru wiodącą rolę odgrywać powinna Scena Propozycji. Sama jej nazwa bowiem wskazuje, że chodzi tu o imprezę szczególną, której akceptację lub odrzucenie pozostawia się samemu widzowi.

Dawałem już na innym miejscu wyraz wątpliwościom czy druga premiera Sceny Propozycji spełnia tę właśnie prowokującą funkcję? Czy wnosi w życie teatralnej Łodzi jakiś świeży powiew. Tej wątpliwości nie mogę się niestety wyzbyć i nie mogę ukryć rozczarowania. Pokazano nam dwie jednoaktówki, a raczej dwa skecze, omal nie black — outy, o niezbyt dużej nośności intelektualnej. Nie stanowią one również jakiegoś nowatorstwa formalnego.

Zacznijmy wbrew chronologii przedstawienia od jednoaktówki Maxa Frischa. Nazwisko to należy do najlepszych w dramaturgii światowej, a w zestawieniu z Dürrenmattem decyduje o wysokiej lokacie jaką aktualnie w tej dziedzinie zajmuje Szwajcaria. Ktoś określił tę sytuację dowcipnie, mówiąc, że dotąd Szwajcaria słynęła w świecie z zegarków, sera Emmentaler i z czekolady Sucharda, a po drugiej wojnie światowej stała się niespodziewanie światowym eksporterem sztuk dramatycznych.

Max Frisch (ur. w r. 1911) jest autorem szeregu doskonałych utworów dramatycznych z których w Polsce (nie w Łodzi!) wystawiono w ostatnich latach „Biedermanna i podpalaczy", „Andorrę" i „Don Juana czyli miłość do geometrii". Z jego głośnych powieści czytelnik polski miał możność poznać „Stillera" i „Homo Faber", obie tkwiące głęboko w gęstym klimacie egzystencjalistycznym. Darmo jednak szukalibyśmy potwierdzenia opinii o pisarstwie Frischa w „Szewskiej pasji Filipa Hotza". Jest to żart sceniczny, skreślony na marginesie właściwej twórczości znakomitego dramaturga. Po jego obejrzeniu równie mało wiemy o Frischu co i przedtem.

Zgrabnej fabułce tej jednoaktówki reżyser Sykała nadał adekwatną formę teatralną, kładąc główny akcent na dowcipny i potoczysty dialog. Dopomogli w tym aktorzy, zwłaszcza Barbara Połomska i Tadeusz Sabara w rolach skłóconego małżeństwa Hotzów.

Autor drugiej jednoaktówki, Ernesto Sfriso, nie należy do czołówki dramaturgów włoskich. Ma na swoim koncie raczej utwory drobniejsze, pisane częściowo z myślą o telewizji. Na dobrą sprawę z zaprezentowaniem go polskiej publiczności można by śmiało poczekać. „Zabawa ze sznurkiem" jest utworem wskazującym na dojrzałość warsztatową autora, ale nie należy jej oceniać jako rewelacji.

Istotniejszym powodem przemawiającym za wystawieniem tej jednoaktówki byłaby szlachetna, humanistyczna intencja leżąca u jej podstaw. „Zabawa ze sznurkiem" stanowi bowiem jeszcze jeden głos protestu przeciw bezsensowi wojny i przeciw ślepemu okrucieństwu jej machiny. Sfriso podjął ten temat w formie groteski czy persyflażu. W tym kierunku poszła również reżyseria i interpretacja aktorska.

Spośród wykonawców wyróżnić należy Mariana Gamskiego, który postać Mężczyzny ujmuje w konwencji chaplinowskiej (nie po raz pierwszy aktor ten sięga po taki właśnie model współczesnego bohatera!), a także obie pary grające na zmianę role Żołnierzy — Czesława Przybyłę i Stanisława Mariana Kamińskiego oraz Włodzimierza Skoczylasa i Mirosława Szonerta.

Funkcjonalną, prostą dekorację do obu jednoaktówek przygotowała Iwona Zaborowska.

Omówienie to chciałbym zakończyć uwagą, że ambitna i godna uznania inicjatywa Teatru Powszechnego, wyrażająca się w stworzeniu Sceny Propozycji wymaga w realizacji szczególnej troskliwości i namysłu przy wyborze repertuaru. Trzeba dokładnie zdawać sobie sprawę co i dlaczego chce się widzowi proponować.

Co się dzieje?

27 marca przypada tradycyjny już u nas Światowy Dzień Teatru. Z tej to okazji, podobnie jak w Łodzi, województwo nasze obchodzić będzie Tydzień Teatru (27. III.—4. IV.), co ma stanowić szczególny akcent, podnoszący rangę tej uroczystości. W założeniach władz wojewódzkich leży jak najszersze włączenie do obchodów wszystkich placówek i środowisk kulturalnych. Największe pole do popisu będą, rzecz jasna, miały coraz liczniejsze ośrodki akcji „wieś bliżej teatru", o których działalności pisaliśmy już nie raz.

O Dniach Teatru myślą też nasze teatry objazdowe. Teatr Ziemi Łódzkiej, na przykład, wystąpi z premierą „Marchołta" R. Brandstaettera.

• • •

14 lutego odbywały się eliminacje wojewódzkie uczestników XI Konkursu Recytatorskiego. Był on związany z obchodami 20-lecia PRL i tematyką swoją obejmował przede wszystkim współczesną polską literaturę i publicystykę. Przed komisjami ocen na szczeblu środowiskowym przewinęło się 12.307 miłośników żywego słowa. A na 128 uczestników przeglądu wojewódzkiego — 17 zakwalifikowano do jeszcze jednego przesłuchania przed finałami na szczeblu centralnym. Repertuar? Zgodnie z założeniami — współczesny i polski. Najchętniej recytowano Gałczyńskiego, Broniewskiego i Tuwima. Spośród prezentowanych tekstów publicystycznych, najczęściej powtarzały się interesująco wybrane fragmenty przemówień tow. Gomułki.

• • •

Niestrudzony w swojej inwencji „Ruch", szturmuje nawet do... kin. Oto w dwu poczekalniach kin Pabianic, w Łasku, Sieradzu, Wieluniu i Piotrkowie otwarto przytulne kawiarenki-czytelnie, gdzie posiadacze biletów mogą w doskonałych i kulturalnych warunkach oczekiwać rozpoczęcia seansu. Pomysł interesujący i jak powiadają „praktycznie użyteczny". A może dzięki temu wzrośnie frekwencja w kinach? Kto wie!

(H. K.)

SPEKTAKLE tygodnia

	FILM	
POLONIA — „Królowa Krystyna". 35 seansów		— 16.108 widzów
WISŁA — „Późne popołudnie" 42 seanse		— 9.040
	TEATR	
NOWY — „Pan Geldhab" 2 spektakle		— 1.400 — 100%
„Wicek i Wacek" 1 spektakl		— 500 — 70%
„Pastorałka" 6 spektakli		— 2.500 — 65%
MAŁA SALA „Drewniana miska" 4 spektakle		— 800 — 100%
„Indyk" 1 spektakl		— 180 — 90%
JARACZA — „Kobiety z Niskavuori" 3 spektakle		— 1.800 — 88%
„Koncert" 2 spektakle		— 1.300 — 85%
POWSZECHNY „Ktoś nowy" 3 spektakle		— 1.558 — 78%
„Robin Hood" 2 spektakle		— 1.228 — 92%
„Piosenka prawdę ci powie" 2 spektakle		— 1.250 — 94%
„Niewidzialny książę" 1 spektakl		— 561 — 84%
7.15 „Pani Prezesowa" 3 spektakle		— 1.057 — 80%
„Przygody dzielnego wojaka Szwejka" 3 spektakle		— 803 — 72%
OPERA „Legenda Bałtyku" 1 spektakl		— 711 — 100%
„Manon" 1 spektakl		— 711 — 100%
OPERETKA „Czarujący Giulio" 7 spektakli		— 6.196 — 78%

JAN JANISZEWSKI

List z Wrocławia

„Dobry wieczór we Wrocławiu" wita neon vis-à-vis dworca głównego, a nieopodal „Królowa Krystyna" z boską Gretą Garbo w kinie Śląsk. Przy tej samej ulicy — Świerczewskiego — druga oświetlona korona nad kawiarnią „Sezam" — pięciopałkowa, chociaż wewnątrz króluje hrabiowska. Boć tu przecież występuje „Hrabia, co na dymku zarabia".

Inżynier agronom, zbożowiec, konferansjer, piosenkarz, recenzent, nieprzebrana skarbnica anegdot i facecji — Wojciech hrabia Dzieduszycki. On i jego żona plus profesor Lenczowski w programie „Od Mikołaja Reya do Własta Andrzeja". Kabaret zwie się „Dymek z papierosa".

Morze neonów. Barwne, w ruchu i o różnej tematyce. Nawet wychowawcze — miej się na baczności przed pożarem! Najdziwniejsze zaś — wszystkie litery funkcjonują.

Skręcam w prawo. KDM — Kościuszkowska Dzielnica Mieszkaniowa. Serce nowoczesności, współczesności, kultury, a może nawet snobizmu metropolii dolnośląskiej. Kawiarnie „de luxe", Delikatesy, PDT, Desa, Jubiler, lekj zagraniczne, a przede wszystkim KMPiK, obwieszczający kolorowo i świetlnie: JOURNAUX • KNIGI • BOOKS • ZEITUNGEN". Przestrzeń, światło, wygodne fotele. Między księgarnią a czytelnią i permanentną wystawą fotografiki lub malarstwa — szatnia z wszelkimi wygodami — do ręcznika z dobrym mydłem w woreczku nylonowym włącznie.

W kawiarni fraszkopis z brodą, Henryk Jagodziński (w sezonie letnim nieustraszony żeglarz na jolkach), plastyczki z ZPO im. 1 Maja (przeglądają „Elle"), kumy w stylu honoratkowym nicujące sprawnie wcho- i wychodzących. „Odgłosy" w czytaniu (nadchodzą w sobotę). Przy stoliku obok baru kawowego starsi panowie bałakają melodyjnie z lwowska o Jóźku po drugim zawale. Zbliża się dwudziesta. Czas pożegnać się z klubem.

Siedemnastka, zgodnie ze słowami piosenki, pędzi poprzez Krzyki do Kleciny. To już rogatki Wrocławia. Mijam most na Ślęzie i Dzielnicowy Dom Kultury. Niesławnej tradycji knajpa przekształciła się w przybytek kultury. Kawa, Dyskusyjny Klub Filmowy, połączona biblioteka miejska i cukrowni. A w soboty i niedziele twist z nieśmiałymi wstawkami bossa-novy.

Kolacja w rodzinnym gronie. Dwie babcie — osiadła od 1945 roku we Wrocławiu, druga — w typie latającego Holendra na trasie Jędrzejów — Warszawa i Jędrzejów — Wrocław — między córkami, wnukami i zięciami. Zasiada również trójka przedstawicieli pokolenia „po czterdziestce" i szczenięta — wychowankowie uczelni wrocławskich. On — rok po dyplomie Wyższej Szkoły Muzycznej, ona — na półmetku Wyższej Szkoły Rolniczej. Tata — rolnik, inżynier.

Babcia Jędrzejowska opowiada o zegarowym doktorze z Jędrzejowa, wysiadającym lub wsiadającym do samolotu i powiększającym zbiory muzeum rodzinnego, adeptka agronomii dopytuje się o spektakl „Piosenka prawdę ci powie", babcia wrocławska przypomina, by nazajutrz odwiedzić stryjenkę, która zachowała listy od Bolesława Leśmiana (stryj był przyjacielem poety w Zamościu). A potem nie kończące się pytania: „Dlaczego Jasiukiewicz, Krafftówna, Lorentowicz w Warszawie? Dlaczego Benoit w Łodzi? Dlaczego Krysia Jamroz śpiewa w stolicy, a nie w operze wrocławskiej (Krysia Jamroz była małą dziewczynką, kiedy zatrzymywałam się podczas kuracji w Busku-Zdroju u jej mamy w „Sanato" — komentuje babcia wrocławska)?

Nieopisany korek panował nazajutrz w łazience. Agronomka spieszyła się na kolokwium z melioracji, jej tata miał ważną konferencję w sprawie planów produkcji nasion, syn jazzman pędził po stroiki dla klarnecisty z podopiecznego zespołu w „Archimedesie", a stryjek z Łodzi (we Wrocławiu Łask urasta do Łodzi) — dla zasady, bo lubi zamieszanie.

Śródmieście Wrocławia powitało potężnymi stelażami ze Zbigniewem Cybulskim: przy koniu, na koniu, z niemal strip-teasowo odzianymi Hiszpankami... Bombowa reklama dla „Rękopisu znalezionego w Saragossie". Reklama ustępująca rozmachem nawet występowi Helen Shapiro i recitalowi Bogdana Łazuki. Łazuka w ocenie szczeniąt miał nieco wydłużony program, a Kydryński — na pół gazu. Impreza odbyła się w Hali Ludowej. Bogdan ma głowę — nie tylko w piosence. Słusznie. Mijają lata — mijają piosenki.

W kawiarni PDT wpadły na małą lub dużą czarną Ważne Osoby w delegacji, panie domu w trakcie zakupów, brać studencka nie spiesząca się na wykłady. Starsi zaś panowie okupowali stoliki niemal od kawiarnianego świtu i przeglądali „Słowo Polskie" lub „Gazetę Robotniczą".

Zerówką jadę do stryjenki przez Plac Grunwaldzki. Tu też rosną bloki w tempie wrocławskim. Tu, w czasie oblężenia hitlerowcy rozebrali od fundamentów całą dzielnicę zamieniając ją na Flugplatz. Stąd uciekała brunatna super-elita Fieseler-Storchami, aby nie dostać się do Kriegsgefangenenlager, a nawet Norymbergi.

Kilka listów Leśmiana. Sugestia czy też prawda? Charakter pisma miękki. Podpis wyraźny. Gdy mówi o zmarłym przyjacielu określa przyjaźń — „to więcej niż lubić". A przyjaźń dla wdowy, to x — adresów, nazwisk, przytoczonych rozmów, starań o zapewnienie jej i córkom przyszłości. W listach ścisły język prawnika, a przy tym zapomnienie o podstawowych kanonach korespondencji, jak data, miejscowość. To znów wplecione zwrot — o trudnościach bytu ludzi nieozonowych. Słowem — ciekawy materiał dla studiów nad Leśmianem — przyjacielem, Leśmianem — opiekunem, trzeźwym obserwatorem życia.

— Należał do ludzi o kulturze wewnętrznej, był ujmujący w prostocie. Z równą ciekawością słuchałam, gdy rozmawiał z Jankiem o łączących ich obydwu zagadnieniach prawa, jak o jakiejś przeczytanej wspólnie książce... Dlaczego się tak rzadko pokazujesz u nas we Wrocławiu?

Znów KMPiK. Kolejka dłuższa niż przed delikatesowymi cytrynami. O godzinie 13-tej rozpoczyna się sprzedaż gazet. Największym popytem cieszą się chyba francuskie: sporo tu reemigrantów z Francji, duże skupisko inteligencji, znaczne nasilenie tego języka w szkołach średnich. I ja zatapiam się w lekturze „Nouvelles litteraires".

Zjawia się Edward Kurowski. Przed dwudziestoma laty był małym chłopcem. Przyjechał tu z rodzicami. Dziś zalicza się do młodego pokolenia literackiego Wrocławia. Ma na swym koncie kilka powieści. Niedawno wrócił z Afryki. Był przeszło dwa miesiące w Ghanie i Nigerii.

— Zamierzam napisać powieść z życia polskiego inżyniera w Afryce. Powieść popularną. Będzie odkrywał Afrykę. Zabiorę się do pisania w końcu lutego. Obecnie kończę opracowanie monografii opery wrocławskiej, jej XX-lecia.

Kolację spożyliśmy sami. Późno. Babcie oglądały w telewizji figurową jazdę na lodzie.

Lisiecka o „Pryszczatych"

Alicja Lisiecka pisze na sposób francuski: analizę literacką wspiera anegdotą, szczegółem biograficznym, wspomnieniem. Podoba mi się ten rodzaj podejścia do tematu. Powiem więcej: jest on u nas wskazany i potrzebny. Nawet jeżeli rzecz taka ociera się o plotkę — nic to jej, ani czytelnikom nie szkodzi. Nazbyt długo pokutowały w Polsce tendencje do „uczonych rozpraw", oderwanych od życia i rzeczywistości. Wiemy, co z takich analiz pozostaje. Przykładem mogą tu być prace prof. Kucharskiego o Fredrze: jego żmudne i z trudem budowane analizy nie wytrzymały konfrontacji z biografią pisarza i rozsypały się „w proch i w pył" pod żywym piórem Boya, który umiał odnaleźć punkty styczne pomiędzy dziełem i jego twórcą. Kiedy, po prostu, nie przeginając pały, zachował w badaniach utworu literackiego rozsądek i umiar i nie dał się zwieść wydumanym z powietrza teoriom.

W „Pokoleniu pryszczatych" (bo o tę książkę Alicji Lisieckiej tu chodzi) autorka potrafiła uchwycić drogę pośrednią. Nie rezygnując z analizy dzieła, ani z oceny tzw. kontekstu historycznego, raz po raz odwołuje się do znanego sobie materiału faktów pozaliterackich. Jej żywa umysłowość, a nawet pewne wścibstwo dały w rezultacie książkę interesującą, która nie będzie zalegać półek księgarskich. „Pokolenie pryszczatych" dzieli się na dwie wyraźnie zarysowane części: ogólną i szczegółową. W części ogólnej Lisiecka podmalowuje tło, w szczegółowej — daje szereg portretów „pryszczatych" tj. tych autorów, którzy debiutowali w latach powojennych i w znacznej mierze przyczynili się do powodzenia okresu schematyzmu i drętwej mowy. Zresztą nie tylko oni, bo również ich starsi koledzy z „Kuźnicy", ale to nie stanowi głównego motywu książki Alicji Lisieckiej.

Należę do pokolenia nieco starszego niż pryszczaci (mój rocznik 1918, ich — średnio 1924), ale z wieloma z nich miałem od czasu do czasu do czynienia. Nie powiem, by grzeszyli nadmiarem wdzięku i skromności. Może najbardziej otwarty i bezpośredni wśród nich był Tadeusz Borowski. Denerwowała natomiast agresywność Wiktora Woroszylskiego, pewność siebie — Romana Bratnego, uroczyście obnosił swoją wyniosłość Jacek Bocheński, nie budziła entuzjazmu poza „na proletariackość" u Bohdana Czeszki, a ZMP-owski Engels czyli Arnold Słucki miał w sobie coś z kaznodziei i mentora. Zresztą lubiłem Słuckiego i ta moja słabość do niego przetrwała najgorsze nawet lata. Trzeba powiedzieć, że mieli oni swoich sympatyków „w terenie". W Łodzi, był nim Jerzy Miller, w Katowicach Andrzej Wydrzyński, w Poznaniu bodaj Bogusław Kogut. Jedynie umiarkowany Kraków zachował wstrzemięźliwość i chyba nie wydał ani jednego pryszczatego w czystym, chciałoby się powiedzieć: klasycznym wydaniu. Zresztą może się mylę.

Książka Alicji Lisieckiej przypomniała mi tamte lata. Ale w miarę jak czas upływa, wydaje się, że zawinili nie tylko „pryszczaci", dla których okolicznością łagodzącą była ich ówczesna młodość, lecz przede wszystkim starsi — ich koledzy po piórze spod znaku „Kuźnicy". Młody adept mógł być (i był zazwyczaj) w swoim zaangażowaniu szczery i prawdziwy, choć naiwny. Można zrozumieć ich swoisty fanatyzm ideowy. Zrozumieć, ale go nie pochwalić. Czego natomiast nie można — to zrozumieć starych, doświadczonych pisarzy, którzy przecież musieli mieć jakieś wątpliwości, w owym okresie. Ktoś kiedyś musi napisać i o tym, inaczej historia tamtych lat nie będzie w pełni wyjaśniona. Słyszałem, że Zbigniew Zabicki napisał książkę o „Kuźnicy", może z niej dowiemy się czegoś o sprawach, które nas tu interesują.

„Pokolenie pryszczatych" Alicji Lisieckiej jest książką bardzo potrzebną. To nic, że w wielu swych partiach — sporną. To nawet było nieuniknione. Jest to przecież pierwsza tego rodzaju publikacja, która w sposób konkretny próbuje podjąć opisanie czasu minionego. Sprawiedliwość każe przyznać, że pryszczaci okazali się pisarzami utalentowanymi. I wtedy i dziś. Tamte ich książki nie przetrwały próby czasu. Odeszły w przeszłość niepowrotną. Nikt po nie obecnie nie sięga z własnej i nieprzymuszonej woli. A i wtedy czytali je przede wszystkim uczniowie jako lekturę obowiązującą lub pomocniczą. Ale po latach napisali książki nowe — lepsze od tamtych, potwierdzające ich talent. Książki, które się liczą w dorobku powojennego dwudziestolecia. Książki czytane i nagradzane. Swoją drogą — szczęściarze ci „pryszczaci". Nagradzano ich wtedy i nagradza się ich obecnie. Oni sami stają się ową arką przymierza między dawnymi i nowymi laty.

Alicja Lisiecka pokazuje obydwa oblicza tego pokolenia: dawne i dzisiejsze. Mówi przecież nie tylko o ich książkach dawniejszych, mówi także o książkach, które napisali później — po przełomie, po wielkim „katzenjammerze", po „trzęsieniu ziemi". Nie, co tu gadać — udała nam się ta Alicja Lisiecka. Nawet ci, co nie przyznają jej racji głośno, muszą przyznać jej rację — po cichu. Więc, niezależnie od tego, czy mamy do „Pokolenia pryszczatych" pretensje duże czy małe — bierzemy tę książkę do ręki z zainteresowaniem. A kiedy już ją weźmiemy, nie odkładamy, nie czytając. Czytamy do końca. Zawiera się w tym pochwała dla Alicji Lisieckiej.

Jan Koprowski

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

W słowie wstępnym do sztuki telewizyjnej Edwarda Niziurskiego „Ucieczka z Betlejemu" Roman Szydłowski określił utwór jako sztukę o „trudnym optymizmie". Można się z tym zgodzić pod warunkiem, że umiejscowimy ów „trudny optymizm" w domyślności widzów telewizyjnych. Czy jednak nie za wiele wymaga się od widza w warunkach, gdy autor zaledwie sugeruje (i to bez przesady, zaledwie!), jakie motywy skłoniły pracowników źle zorganizowanej i marnie zaopatrzonej budowy do pozostania na starym miejscu pracy? Największą chyba wartością sztuki jest atrakcyjny żywy dialog. Reżyser Kuźmiński zrobił wszystko, co się dało, dla ożywienia wątłej akcji „Ucieczki". Znakomite pod względem aktorskim postacie kreowali Świderski i Nalberczak.

WTOREK

Sensacyjny w najlepszym tego słowa znaczeniu dramat sumienia lotnika znad Hiroszimy, Claude Eatherly'ego na podstawie adaptacji scenicznej listów, wymienionych między Eatherlym a naukowcem wiedeńskim Andersem, wystawił Teatr Nowy na Małej Scenie. O wartości adaptacji i realizacji scenicznej dowiedzą się czytelnicy na innym miejscu „Odgłosów"; dzisiaj sygnalizujemy tylko ten spektakl, godny uwagi pomimo szeregu niedociągnięć.

ŚRODA

Wieczór autorski Mariana Piechala w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki poprzedziły recytacje wierszy poety w interpretacji młodych adeptek sztuki deklamatorskiej. Niestety, mimo zapału i szczerych chęci recytatorki nie udźwignęły piękna tej poezji. Ale dlaczego nie zaproszono doświadczonych recytatorów, którzy potrafiliby podać wiersze poety w ich pełnym blasku? W wypowiedzi autorskiej Marian Piechal zajął się analizą zagadnienia regionalizmu w literaturze.

CZWARTEK

Parafraza telewizyjna „Droga" Lecha Budreckiego i Ireneusza Kanickiego na motywach opowiadania Stefana Żeromskiego „O żołnierzu tułaczu" okazała się widowiskiem rozwlekłym i nużącym. Skróty reżyserskie i przyspieszenie tempa mogłyby zmienić „Drogę" w interesujący spektakl telewizyjny. Cóż, kiedy reżyser celebrował tekst i przedłużał partie dialogowe ozdabiając je w figury stylistyczne w rodzaju powtórzeń i refrenów, co miało prawdopodobnie na celu „upoetycznienie" parafrazy w duchu autora opowiadania „O żołnierzu tułaczu". Zabieg ten jednak wypadł niefortunnie. Wykonawcy starali się daremnie udramatycznić wlokący się jak po grudzie tekst spółki autorskiej. W głównych rolach wystąpili Jadwiga Chojnacka, Stanisław Łapiński i Bogusław Sochnacki. W epizodach dobrze wypadli J. Zbiróg i Z. Zintel.

PIĄTEK

W Towarzystwie Wiedzy Powszechnej prof. Stefan Hrabec mówił o pięciu zasadach ortografii, o wygodach i niewygodach umowności, na której opiera się nasza ortografia, oraz niemożliwości zrealizowania ideału fonetycznego: „Pisz jak mówisz". Niekonsekwencje pisowni z 1936 roku dają się nam we znaki zwłaszcza w kwestii pisania rozłącznie czy nie rozłącznie. Na pytanie, czy należy aktualnie zmieniać ortografię, językoznawcy odpowiadają, że nie ma takiej ortografii (i nie może być!), która by nie wywoływała sporów i zastrzeżeń. Gdybyśmy zaś chcieli dziś zmieniać w radykalny sposób naszą pisownię, to musielibyśmy uczyć młodzież paleografii, czyli sztuki odczytywania starodruków, gdyż dawne teksty byłyby dla niej niezrozumiałe. Zresztą, ciągłe zmiany są gorsze od najgorszej ortografii. Dlatego zmieniać ortografii nie warto i nie należy.

SOBOTA

Obok antydramatu i antypowieści otrzymujemy również i w dziedzinie kinematografii pozycje, które zrywają z tradycyjną dramaturgią filmową i które można by nazwać antyfilmami. Do takich pozycji należy „Późne popołudnie" wyświetlane w „Wiśle", którego autorem i reżyserem jest Aleksander Ścibor-Rylski. Nie da się zaprzeczyć, że scenarzysta i reżyser w jednej osobie osiągają w tym dziele filmowym sukcesy artystyczne, które mogą w pełni zadowolić bardziej wybrednych widzów, a mianowicie, zerwanie z szablonem fabularnym, delikatność i precyzja rysunku psychologicznego postaci, pełen niedomówień podtekst. Czy jednak tzw. szerokie masy widzów ocenią i zrozumieją należycie te „smaczki" i „nowinki" w dobrym tego słowa znaczeniu? Jak dotąd film utrzymuje się od dwóch tygodni na ekranie, co nastraja optymistycznie.

NIEDZIELA

Dzisiaj wieczorem wróciłem z Warszawy i przeszedłem przez zatłoczony, brudny i zabłocony gmach dworca Fabrycznego. Makabra! Ludzie, chciało mi się krzyczeć, więc to tak wygląda dworzec drugiego co do wielkości po Warszawie miasta? Jaskrawo, gorzej niż w przedwojennych koszarach otynkowane ściany bez ozdób i malowideł dających choć by złudzenie obrazu, odstraszają podróżnych. Cudzoziemiec lub obywatel z innego województwa przyjeżdżający do Łodzi, na widok takiego obskurnego budynku nie tylko straci ochotę do zwiedzania miasta, ale ogarnie go chęć ucieczki gdzie pieprz rośnie. Bo jeżeli dworzec tak obrzydliwy, zada sobie pytanie, to jakie może być to osławione z zadymionych ulic miasto? Jeżeli ojcowie miasta nie troszczą się o estetykę swych dworców, to łatwo sobie wyobrazić, jakie mogą być ulice! I tutaj się też nie omylił, bo uporządkowanie ulic Łodzi z walającymi się dużymi i małymi pojemnikami od śmieci to, zdawałoby się, problem przerastający możliwości Zakładu Oczyszczania Miasta. Ale inne duże miasta jakoś sobie z tym radzą? Wróćmy jednak na dworzec. Na Kaliskim chyba jeszcze gorzej! Gdy się pomyśli o nowoczesnych europejskich dworcach Warszawy, Wrocławia, Krakowa i Poznania, to żal ściska serce łódzkiego patrioty, tego prawdziwego. Dlaczego na bożka ruchu i handlu, Merkurego, tamte mniejsze od Łodzi miasta mogły zdobyć się w dwudziestoleciu na reprezentacyjne dworce, podczas gdy Łódź, drugie po stolicy miasto, posiada stacje kolejowe, godne Obrzydłówka?

ARYSTARCH

„A pan to zna?"

Z żartów doktora PIETRASZKA

* * *

W świecie rojącym się od domorosłych facecjonistów i anegdociarzy, do wyjątków należy literat biorący ten rodzaj twórczości na swój warsztat. Zresztą, wbrew pozorom, nie jest to dziedzina pisarstwa łatwa. Anegdota, która może liczyć na dobre przyjęcie w wesołej kompanii, w druku często ulega spłaszczeniu, łatwo okazuje swoją trywialność i nicość.

Sukces ostatnio wydanej książki Horacego Safrina „Przy szabasowych świecach" świadczy, że i dziś dobry dowcip może liczyć na odbiorcę. Pragniemy na tym miejscu przypomnieć postać dr Pietraszka, znawcę i konesera żartu, klasyka naszej anegdoty. Jego książeczka „A pan to zna?" nieprzedrukowywana od lat (1 wyd. 1925, 2 wyd. 1936), zaczytana, stała się dużą rzadkością antykwarską. Zmieniły się warunki i żarty sprzed lat straciły swój dawny blask, ale nie stało się to z twórczością dr Pietraszka, posiadał on bowiem absolutny słuch humorystyczny. Tuż obok żartów finezyjnych umieszczał koncepty ryzykowne, nieraz nawet rubaszne. Bawił i zaskakiwał, a równocześnie potrafił w swych anegdotach zawrzeć wiele wiedzy o bliźnich, dojrzałą mądrość. Dr Pietraszek był również znawcą tego specyficznego gatunku humoru, jaki stanowił ludowy żydowski szmonces. Zamierzał nawet napisać książkę pt. „Dowcip żydowski i jego filozofia". Ale autor nie zamykał się w wąskim rodzaju humoru, w anegdotach swych umieścił całą galerię swoich współczesnych. Wydaje się, że na twórczości dr Pietraszka odbił swe piętno fakt, że był on łodzianinem. Wiele jego żartów godziło swym ostrzem w tę mentalność jaką wytwarzało wielkie kapitalistyczne miasto, które znał tak dobrze.

Jako twórca swoją rolę określał skromnie: „Zasługą czcigodnego „autora" nie jest stworzenie tych dowcipów, lecz ich podanie. REDAKCJA: wszystkie one zostały przez niego kiedyś NAPISANE, nie zaś powycinane z innych zbiorów i czasopism, jak to się zazwyczaj przy układaniu podobnych książek praktykuje".

Sądzę, że lektura wybranych ze zbioru dra Pietraszka anegdot, potwierdzi, że są one warte przypomnienia w całości. Może zainteresuje się tą sprawą Wydawnictwo Łódzkie?

Warto dodać, że dr Pietraszek używał również innego nazwiska: Julian Tuwim.

J. DUN.

* * *

I Karol był przystojny i Edward niczego. Lilka była więc z obydwoma w najintymniejszej przyjaźni. Jeden nie był o drugiego zazdrosny, wiedzieli o sobie nawzajem i było dobrze.

Pewnego razu Karol wyjechał na kilka miesięcy. W drodze dostaje depeszę od Edwarda:

— Lilka bliźnięta. Mój umarł.

* * *

— Och! wzdycha stary Le wensos. Widziałeś pech? Widziałeś zmartwienie?

— Co się stało — pyta zaciekawiony przyjaciel jego, Rabinowicz.

— Co się stało! Mówię ci: każde inne nieszczęście ludzkie przy mojem — to jest bachanalja.

— Powiedz nareszcie, o co chodzi?

— Jak to? Nie wiesz? Mojego syna zamknęli na rok więzienia.

— Za co?

— Za to, że się minął z powołaniem.

— Co to ich obchodzi?

— Z powołaniem do wojska!

* * *

Aby mieć u naszej publiczności powodzenie, rz ki pewien poeta, trzeba albo umrzeć, albo być obcokrajowcem albo pisać perwersyjnie. Najlepszy zaś sposób — to być zagranicznym perwersyjnym nieboszczykiem.

* * *

— Pan udzielił mi fałszywych informacji! Powiedział mi pan, że ojciec tej panny już nie żyje, tymczasem dowiaduję się, że od trzech lat siedzi on w więzieniu!

Swat: To jest życie?

* * *

Głęboko lecz na próżno wycięty dekolt pewnej chudej i brzydkiej damy, nazwał bankier L. niepokrytym deficytem.

* * *

— Tatusiu! Ja chcę iść jutro na pogrzeb cioci!

— Nie można, Józiu! Dopiero przedwczoraj byłeś w cyrku...

Przed otyłym bankierem stoi młoda dziewczyna i szlocha jąc opowiada mu coś.

Bankier uspokaja ją:

— Nie płacz, kochanie, nie płacz... Może to nie to... Widzisz przecież — ja też mam brzuch...

* * *

W gabinecie nocnego lokalu wre zabawa. Pipman szaleje! Kobiety, szampan, muzyka, tańce, bachanalja. Rozhulany Pipman czuje się jak w raju. Wtem kelner przynosi depeszę. Nieszczęście! Pani Pipmanowa umarła.

Pipman chowa depeszę do kieszeni i woła:

— Oj, to jutro będzie płacz!!

* * *

Pani Neurich zdanie o nowo wystawionym dramacie:

— To nie jest sztuka na premierę!

* * *

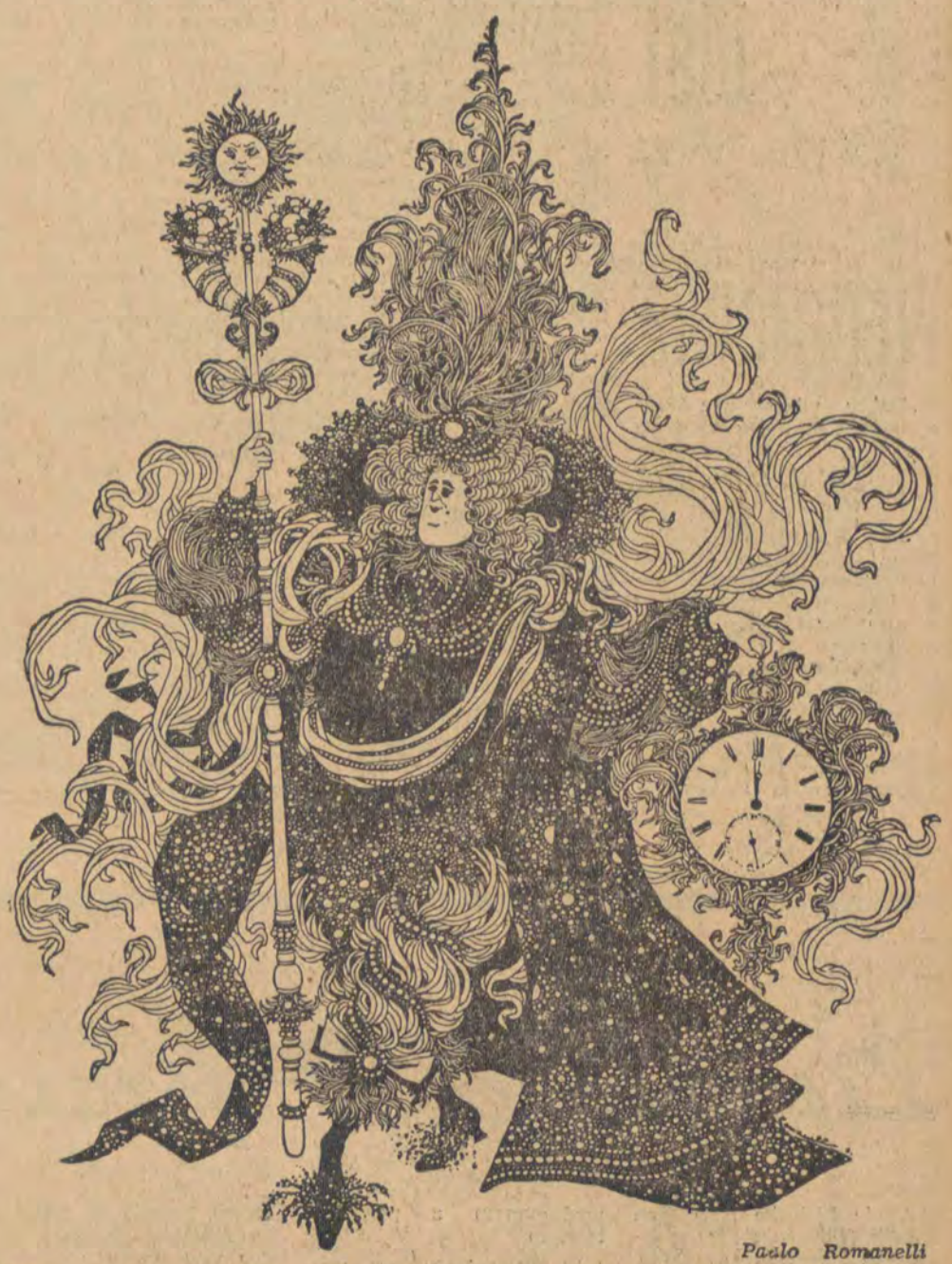

Paolo Romanelli

Gość w restauracji zrywa się w pewnej chwili od stolika i woła:

— Kelner! Rachunek! Tylko jak najprędzej! Ile się należy?

— Służę panu! Osiem złotych!

— Gość rzuca na stół banknot dwudziestozłotowy:

— Reszty nie trzeba!

Chwyta palto, pędem wybiega na ulicę i biegnie kłusem przed siebie. Wreszcie zatrzymuje się, ogląda palto na wszystkie strony, spluwa wściekły i mówi:

— Psiakrew! Moje!

* * *

Izajasz Katzensprung pości z powodu Sądnego Dnia. Przechodząc ulicą, spostrzega na wystawie sklepu gastronomicznego apetyczne półgęski, paszte ty, sałatki itd. Widok tych specjałów drażni podniebienie wygłodniałego Katzensprunga. Wchodzi do sklepu:

— Przepraszam, co kosztuje taka sałatka z drobiu?

W tej samej chwili błyska się i słychać uderzenie gromu. Pan Izajasz spogląda na niebo i mówi:

— Przesada! Zapytać się nie wolno!

* * *

Stworzenie człowieka jest wynalazkiem Boga. Niestety, Stwórca zapomniał opatentować swój wynalazek i teraz każdy bałwan naśladuje go.

* * *

Przed wspaniałym mauzoleum rodziny Rotszyldów na cmentarzu frankfurckim stoi ubogi Żydek i wzdycha:

— Ci ludzie sobie żyją!

* * *

W pokoju przylegającym do sypialni ciężko chorego milionera, spadkobiercy prowadzą szeptem rozmowę:

— Więc co doktor powiedział?

— Jeżeli wujowi dziś nie spuchną nogi, to nie ma żadnej nadziei.

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU PRZECZYTAJ W POCIĄGU* PRZECZYTAJ U DENTYSTY*

Lewym okiem

ŚNIŁO MI SIĘ, ŻE BYŁEM...

Strasznie nie lubię słuchać opowiadań o tym, co się komu śniło. Wydaje mi się, że zwłaszcza ludzie o bardzo ubogim życiu wewnętrznym i w ogóle o nieciekawym trybie bytowania fascynują się swoimi zwidami sennymi, wzbogacającymi ich przeżycia tysiącem niespodzianek, fantazją, nieograniczonymi możliwościami. Z tych majaczeń nic przecież nie wynika. W książkach opuszczam opisy śnień (wielu autorów w takich opisach się lubuje, znajdując w nich znowu możność popisania się swą fantazją). Gadanie, które do niczego nie zobowiązuje. Do żadnych motywacji, konsekwencji, logicznych skojarzeń i wniosków. Szkoda czasu. Świat jest fascynujący bez tego.

Jeśli się w zakończeniu filmu wyjaśni widzowi, że wszystko co się przedtem działo, było majaczeniem sennym bohatera — widz uspokaja się natychmiast chyba, że tak, mruczy sobie pod nosem. Wobec tego zgoda na wszystko, wobec tego nie jestem za głupi żeby to rozumieć, tylko właśnie nic nie trzeba rozumieć, rozumienie majaczeń nie obowiązuje. Po co?

Wątpię, czy taka „katharsis" widza satysfakcjonuje twórców filmu. Mnie natomiast dużą przyjemność sprawia śledzenie wielce kontrowersyjnych sądów o „Pamiętniku". Bowiem właśnie ów „Pamiętnik z Saragossy" stał się asumptem do tego felietonu, któremu — błagam — nie przypisujcie ambicji recenzenckich.

Nareszcie nie we wszystkich szczegółach opinie są jednomyślne. Jak wiadomo, o obuwiu nie wypada inaczej niż źle, o margarynie inaczej niż dobrze: o Cybulskim można i tak, że jest „absolutnie znakomity" („Przekrój"), i tak, że „klucha, nie budzący nadziei w widzach na sprawne użycie szpady" („Kultura"). „Nie mieliśmy takiego filmu" — pisze Zukrowski. „Najwybitniejsze osiągnięcie w dziejach naszego filmu" — zapewnia „Polityka". „Za mało w nim dowcipu a przede wszystkim za mało wdzięku, poezji" — martwi się Aleksandra. Ponieważ mało kto czyta kilka pism naraz, streszczam ku wygodzie większości: najwybitniejsze z osiągnięć o małym dowcipie, wdzięku i poezji. Nie mieliśmy takiego filmu.

Słynny Franc Fiszer zapewniał kiedyś podobno słowem honoru, że Pan Bóg nie istnieje. Można też zapewnić słowem honoru, że „Pamiętnik" jest „zabawą dla mądrych" i że tylko ubogim duchem może się nie podobać („Kultura"). Na wszelki wypadek krzyczę głośno: mnie się podoba! Podobają mi się „obmierzłe trupy lotrzyków na szubienicy" („Współczesność"), „nadmiar dialogów" („Przekrój") — notabene dialogów, nie obciążających pamięci ani jednym zdaniem; bon mot'em, pointą, dowcipem — podoba mi się galaretowate oko ludzkie, tylko co wydłubane obłąkanemu, trzęsące się na owrzodzonej, zropiałej, powiększonej zbliżeniem dłoni upiora, podobają mi się „rozkoszne czaszki wołów" („Kultura") i w ogóle cały ten czaszkowo — szubienieczny turpizm, „grawitujący między grozą a grubym śmiechem" („Kultura"), z którego nie została ani groza, ani śmiech; ale została — słowo honoru — zabawa dla mądrych...

Tak jak wielu widzom, o ile nie wyszli z kina przed przerwą (czego byłem zażenowanym świadkiem), podobają mi się urocze nowele poplątane misternie ze sobą w drugiej części filmu, spotrtowane, zresztą chyba nie noszące tak ciężkich treści filozoficznych, jakie chcieliby im przypisywać niektórzy pryncypialiści, ale za to właśnie zabawne, baśniowo - groteskowe.

Ucieszną gmatwaniną takich dykteryjek, wysnuwających się jedna z drugiej, jak pudełko z pudełka, zamkniętego w pudełku, tych cudzysłowów w cudzysłowie i nawiasów w nawiasach — bawiłbym się chętnie i długo, zamykając dla odpoczynku oczy co parę minut, gdy ekran wypełnia podbródek zażywnego bohatera, leżącego twarzą w stosie czaszek pod tańczącymi na wietrze wisielcami.

Najbardziej jednak — powiadam — podoba mi się „Pamiętnik" dlatego, że korci do zabrania głosu, że prowokuje sprzeczne sądy — i że nareszcie nie we wszystkich szczegółach opinie, publikowane w prasie, są grzeczniutko jednomyślne.

ĆWIEK.

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 505.II.65, N-3.